

Powiat



Nr 5-6 (147-148), Maj-Czerwiec 2013
Rok XIII * ISSN 1730-7686

SŁUPSKI

Powiat słupski uhonorowany
Jak powstała „Perełka” w Łosinie?

Co po pegeerze?

Nagrodzeni twórcy i działacze kultury

Wrocław odzyskał sensacyjny obraz Cranacha

Historia sercem pisana

Chłopcy jak stal

Cud niepamięci, czyli zespół otępienny

Świat nazw statków i okrętów

Wieś Tworząca



DZIEŃ DZIAŁACZA KULTURY
KOBYLNICA, CZERWIEC 2013



Drodzy Czytelnicy!

„Powiat słupski obszarem zrównoważonego rozwoju o dużej atrakcyjności społecznej i aktywności obywatelskiej” - taką wizję na najbliższe siedem lat określili autorzy nowej strategii rozwiązywania problemów społecznych dla powiatu słupskiego na lata 2013 - 2020. Twórcy powyższej wizji za niezwykle ważny uznali poziom

życia mieszkańców oraz równy dostęp do oferowanych dóbr i usług, co w konsekwencji powinno przyczynić się też do atrakcyjności powiatu.

Strategia określa pięć celów strategicznych. Są to: nowoczesny rynek pracy i wysoki poziom edukacji, zdrowe społeczeństwo, szczęśliwa rodzina i szczęśliwe dziecko, rozwój społeczeństwa obywatelskiego i harmonijny rozwój infrastruktury społecznej. W tym ostatnim przypadku głównie chodzi o likwidację barier architektonicznych w instytucjach użyteczności publicznej, naprawę dróg, budowę i modernizację chodników oraz ścieżek rowerowych, poprawę komunikacji publicznej, likwidowanie barier transportowych oraz zwiększenie dostępu do szerokopasmowego Internetu.

Można by powiedzieć, że są to zamierzenia tak ogólne i odległe w czasie, że niemożliwe do spełnienia. Bo czy w 2020 roku będziemy mieli w powiecie zdrowe społeczeństwo, same szczęśliwe rodziny i szczęśliwe dzieci? Myślę, że nie zbudujemy jeszcze takiej krainy szczęśliwości. Ale wytyczony kierunek jest jak najbardziej słuszny i uzasadniony. Z danych statystycznych, przytoczonych zresztą w strategii, wynika, że w 2011 roku nastąpił w powiecie słupskim znaczny spadek liczby rodzin korzystających z pomocy społecznej, ale nadal jest ich sporo - ponad 5,2 tysiąca. Pomocą objętych w tych rodzinach było ponad 14,5 tys. osób. A przecież dostępne dane statystyczne nie odzwierciedlają całego zjawiska.

Głównymi powodami przyznawania pomocy społecznej jest ubóstwo i bezrobocie, przy czym to pierwsze było częstszym powodem udzielania wsparcia aniżeli bezrobocie. Kolejnymi powodami są: bezradność w sprawach opiekuńczo-wychowawczych, długotrwała choroba i niepełnosprawność. Mamy w powiecie ponad 1,1 tys. osób niepełnosprawnych. Ponad 33 proc. korzysta ze świadczeń pomocy społecznej. W rodzinach zastępczych przebywa ponad 260 dzieci. Niepokoi wzrost liczby noworodków umieszczanych w pieczy zastępczej. Pociuszające jest, że liczba chorych poniżej 18 i powyżej 19 roku życia maleje.

Do mocnych stron w obszarze zdrowia autorzy strategii zaliczyli zapewnione ratownictwo medyczne i podstawową opiekę ambulatoryjną. Do słabych m.in. niski jeszcze poziom wiedzy i świadomości społecznej na temat profilaktyki oraz niewystarczający dostęp do specjalistycznych usług zdrowotnych i opiekuńczych. W obszarze: rodzina i dziecko do słabych stron zaliczono wzrost liczby osób korzystających z pomocy społecznej i braki w dostępie do specjalistycznej pomocy.

Zapisane w strategii cele i wizje zmian są jak najbardziej słuszne i powinny być jak najszybciej osiągnięte. Wiele tutaj mają do zrobienia samorządy, ale podejmowane działania będą skuteczniejsze, jeżeli zaangażują się w nie też sami mieszkańcy.

Sławomir Ziemianowicz
Starosta Słupski

„POWIAT SŁUPSKI” - Biuletyn Informacyjny

Wydawca: Starostwo Powiatowe w Słupsku. Redaguje: **Zbigniew Babiarz-Zych**. Adres redakcji: Wydział Polityki Społecznej, Starostwo Powiatowe, 76-200 Słupsk, ul. Szarych Szeregów 14, tel. 59 841 85 53, faks 59 842 71 11; e-mail: zzych@powiat.slupsk.pl; Skład komputerowy i łamanie: **Artur Wróblewski**. Zdjęcia: **Jan Maziejuk**. Druk: **PASAŻ** Sp. z o.o., ul. Rydlówka 24, 30-363 Kraków. Na okładkach: Na pikniku lotniczym w Krępie Słupskiej; Noc Kupały w Kusowie.

Biuletyn rozsyłany jest do radnych, parlamentarzystów, sołtysów, jednostek OSP, szkół, domów kultury, jednostek organizacyjnych powiatu, firm biznesowych oraz urzędów miast i gmin. Zamieszczany jest również na stronie internetowej: www.powiat.slupsk.pl

W numerze:

- Pomoc na drogi i strategia społeczna4
- List intencyjny.....4
- Medale za służbę5
- Nagroda dla Patryka.....5
- Bogu na chwałę, ludziom na pożytek6
- Tłumy biegaczy w Kwakowie6
- Fotografuje zwierzęta.....7
- Marzenia o przyszłości.....8
- Co nas wyróżnia?8
- Będą konkurencyjni9
- Jak powstała „Perełka” w Łosinie? 10
- Co po pegeerze?12
- Amatorka o profesjonalnym spojrzeniu na świat.....14
- Nagrodzeni twórcy i działacze kultury ... 16
- Artysta jest dla widza..... 18
- Wrocław odzyskał sensacyjny obraz Cranacha..... 20
- Niczym druh Głodowski..... 22
- Powiat słupski uhonorowany 22
- Warto być pięknym motylem 23
- Ciekawy Stralsund i Trzęsacz 24
- Wiktorja znaczy zwycięstwo! 26
- Historia sercem pisana..... 27
- Poznawanie kultur..... 28
- Ferenc Puskás 30
- Chłopcy jak stal 32
- Cud niepamięci, czyli zespół otępienny... 35
- Wakacyjne oferty PTTK 38
- Na bukanierskim (pirackim) szlaku..... 38
- Karkonosze - świat jak z bajki 40
- Świat nazw statków i okrętów41

Pomoc na drogi i strategia społeczna

Zarząd Powiatu Słupskiego przedłożył komisjom osiemnaście projektów uchwał, które zostaną rozpatrzone na czerwcowej sesji Rady Powiatu i podjął osiemnaście uchwał własnych

Do komisji skierowano m.in. projekt uchwał w sprawie: zatwierdzenia sprawozdania z wykonania budżetu powiatu za 2012 rok; zmian w budżecie na 2013 rok; emisji obligacji oraz określenia zasad ich zbywania, nabywania i wykupu; zatwierdzenia bilansu Centrum Edukacji Regionalnej w Warcinie za 2012 rok; przekazania środków na nagrody dla funkcjonariuszy Policji; udzielenia pomocy finansowej gminie Bytów na wdrażanie Lokalnej Strategii Rozwoju Dorzecza Słupi na lata 2009 - 2015; wyrażenia woli podpisania umowy o współpracy partnerskiej z Niemenczynem; wyrażenia woli przystąpienia do wspólnej realizacji projektu pn. „Diagnoza - strategia - inwestycja - rozwój miejskiego obszaru funkcjonalnego miasta Słupska” - plano-

wanego do realizacji w ramach Programu Operacyjnego „Pomoc Techniczna na lata 2007 - 2013”.

Do komisji skierowano też projekt uchwał w sprawie: przyjęcia od gmin: Dębica Kaszubska pomocy finansowej i rzeczowej na przebudowę drogi powiatowej nr 1149G w miejscowości Budowo, Słupsk - pomocy na przebudowę drogi powiatowej nr 1120G za miejscowością Karczino, Ustka - pomocy rzeczowej na przebudowę drogi powiatowej nr 1103G Lędowo-Modła i pomocy finansowej na przebudowę drogi nr 1015G. Ponadto skierowano projekty uchwał w sprawie: przyjęcia Strategii rozwiązywania problemów społecznych dla powiatu słupskiego na lata 2013 - 2020, likwidacji Uzupełnia-



Fot. J. Maziejuk

jącego Liceum Ogólnokształcącego dla Dorosłych wchodzącego w skład Zespołu Szkół Ogólnokształcących i Technicznych w Ustce, zmiany uchwały nr VIII/68/2011 z 28 czerwca 2011 roku w sprawie powierzenia gminie Smołdzino zadania powiatu polegającego na prowadzeniu sezonowych szkolnych schronisk młodzieżowych w Gardnie Wielkiej i Smołdzinie.

Podjęte uchwały Zarządu Powiatu dotyczyły: zatwierdzenia konkursu na kandydata na stanowisko dyrektora Zespołu Szkół Agrotechnicznych im. Władysława Reymonta w Słupsku (kandydatem została pani Iwona Wojtkiewicz), podania do publicznej wiadomości informacji o wykonaniu budżetu powiatu za I kwartał br. oraz o udzielonych umorzeniach niepodatko-

List intencyjny

31 maja br. został podpisany w Słupsku list intencyjny o nawiązaniu partnerskich kontaktów pomiędzy powiatami - słupskim i lubańskim

List podpisali starostowie: Sławomir Ziemanowicz - słupski i Walery Czarnecki - lubański. W dokumencie wyrażono wolę współpracy pomiędzy instytucjami publicznymi i organizacjami pozarządowymi w dziedzinie kultury, edukacji, sportu, gospodarki i ochrony środowiska. W umowie partnerskiej, która ma być podpisana strony deklarują chęć integracji lokalnych społeczności oraz zobowiązują się zacieśniać kontakty poprzez wymianę młodzieży, doświadczeń samorządów oraz wspólną realizację projektów

Fot. D. Wojtas

za środki unijne. Umowa ta zostanie podpisana po zaakceptowaniu przez organy stanowiące obu powiatów.

List intencyjny podpisano w czasie pobytu delegacji powiatu lubańskiego na ziemi słupskiej. Walery Czarnecki, Edward Smusz - członek Zarządu Powiatu Lubańskiego i Artur Zych - naczelnik Wydziału Edukacji, Spraw Społecznych i Rozwoju zwiedzili Ustkę, gminę Słupsk, a także zapoznali się z historią budynku słupskiego starostwa. Towarzyszył im wicestarosta słupski Andrzej Bury.

Gościom podobały się również obchody Powiatowego Dnia Strażaka zorganizowane w Słupsku na Placu Zwycięstwa. Wyjeżdżając ze Słupska zachęcali władarzy powiatu słupskiego do rewizyty w Lubaniu. (D.W.)



współpraca partnerska

wych należności budżetowych. (Uchwałę tę opublikowano na tablicy ogłoszeń starostwa oraz w Biuletynie Informacji Publicznej.)

Dwoma uchwałami dokonano zmian w budżecie powiatu. Polegały one między innymi na zwiększeniu dochodów i wydatków oraz przeniesieniach środków. Zarząd zgodził się na oddanie w użyczenie na okres siedmiu lat (do 31 grudnia 2020 roku) nieruchomości położonej w obrębie Bierkowa, przeznaczonej na infrastrukturę turystyczną. Dokonał zmiany w wieloletniej prognozie finansowej, zmienił uchwałę nr 10/2012 z 12 stycznia 2012 roku w sprawie powołania Lokalnego Zespołu dla Miasta Słupska i Powiatu Słupskiego koordynującego realizację Narodowego Programu Ochrony Zdrowia Psychicznego na lata 2011 - 2015; zmiany dotyczyły składu osobowego w Zespole.

Zarząd ogłosił otwarte konkursy ofert na realizację zadań publicznych - z zakresu wspierania rodziny i systemu pieczy zastępczej oraz dofinansowania wkładu własnego organizacji pozarządowych do realizacji projektów współfinansowanych ze źródeł zewnętrznych. Powołał zespół do opracowania koncepcji Powiatowego Centrum Placówek Oświatowych i Specjalistycznych. Starostę i wicestarostę upoważnił do podpisania umowy kredytu złotowego w rachunku bieżącym na pokrycie występującego przejściowego deficytu budżetowego. Określił też szczegółowe zasady nadzoru właścicielskiego nad spółkami z udziałem powiatu słupskiego. **(G.S.)**



Medale za służbę

Fot. J. Maziejuk

Piętnaścioro pracowników słupskiego starostwa i czworo Powiatowego Urzędu Pracy zostało uhonorowanych Medalami za Długoletnią Służbę

Uroczystość wręczenia medali odbyła się 31 maja br. w sali konferencyjnej starostwa. Wyróżnionym pracownikom samorządowym wręczył je wojewoda pomorski Ryszard Stachurski. Ceremonię poprowadził asystent wojewody - Marcin Kurkowski.

Starosta słupski Sławomir Ziemiânicowicz nie krył dumy ze współpracowników, mówił również o tym, jak ważna jest odpowiednia motywacja i podziękowanie za wieloletnią pracę. W imieniu wszystkich nagrodzonych podziękowania złożyła Eugenia Bereszyńska - naczelnik Wydziału Środowiska i Rolnictwa.

Medale za Długoletnią Służbę nadawane są za wzorowe, wyjątkowo sumienne wykonywanie obowiązków w służbie Państwa. Złote otrzymali: Andrzej Bury - wicestarosta słupski, Aldona Tunin, Anna Irena Kaczmarek, Barbara Janicka, Bożenna Sił, Dagna Sikorska, Ewa Bednarska, Eugenia Bereszyńska, Grażyna Romanowska, Jadwiga Janicka, Mirosław Flis, Teresa Bielecka, Władysław Perliński, Zenon Płuciennik - wszyscy ze starostwa i Alina Diakun z Powiatowego Urzędu Pracy. Medal Srebrny otrzymały: Irena Tkaczuk - Kawalerowicz - sekretarz powiatu, Barbara Szymańska i Małgorzata Furtak z PUP, a brązowy - Daniel Setnik także z PUP. **(D.W.)**

wyróżnieni pracownicy

Nagroda dla Patryka



Fot. D. Wojtas

Szkół Ogólnokształcących i Technicznych w Ustce oraz zawodnikiem usteckiego Lekkoatletycznego Klubu Sportowego „Jantar” i zajął I miejsce oraz zdobył tytuł mistrza Polski juniorów młodszych w kategorii do 18 lat w biegach przełajowych na 5000 metrów na Mistrzostwach Polski Juniorów Młodszych w Kwidzynie, w marcu br. Jest jednym z najlepszych biegaczy w swej kategorii w kraju, Europie i na świecie, ustępuje tyl-

Patryk Błaszczyk z Ustki otrzymał nagrodę Starosty Słupskiego za wysoki wynik sportowy

Nagrodę w wysokości tysiąca złotych wręczył Patrykowi 29 maja br. wicestarosta słupski Andrzej Bury. Patryk Błaszczyk jest uczniem technikum Zespołu

ko młodym Kenijczykom i Etiopczykom.

Przy odbiorze nagrody Patrykowi towarzyszył jego klubowy trener - Henryk Michalski z Ustki. **(D.G.)**

goni najszybszych

Bogu na chwałę, ludziom n

I czerwca na Placu Zwycięstwa w Słupsku można było podziwiać wozy bojowe straży pożarnej oraz strażaków defilujących w mundurach galowych. Komenda Miejska PSP otrzymała sztandar

Na placu odbyły się Powiatowe Obchody Dnia Strażaka. Z zaproszonych gości do strażaków przyjechali: Kazimierz Plocke - sekretarz stanu w Ministerstwie Rolnictwa i Rozwoju Wsi, Roman Zaborowski - senator RP, st. bryg. Andrzej Zaborowski - pomorski komendant wojewódzki PSP, Ryszard Stus - przewodniczący Rady Powiatu Słupskiego, Sławomir Ziemianowicz - starosta słupski, prezes ZOP ZOSP RP, wicestarosta Andrzej Bury, komendanci miejscy i powiatowi PSP z województwa pomorskiego, przedstawiciele Zarządu Głównego i Zarządu Wojewódzkiego ZOSP RP, a także delegacja samorządowców z województwa lubańskiego.

Uroczystości rozpoczęły się mszą świętą, która została odprawiona w Kościele Mariackim. Po nabożeństwie ubrani w galowe mundury strażacy przemaszerowali na Plac Zwycięstwa, gdzie w samo południe rozpoczęła się główna część obchodów. Przy asyście orkiestry kompanii honorowej Komendy Miejskiej wprowadzono pocztę flagową i sztandarową. Po złożeniu meldunku podniesiono flagę państwową, a przemówienie wygłosił komendant miejski PSP, starszy brygadier Andrzej Gomulski.



Fot. J. Maziejuk

Tegoroczne obchody były szczególne. Decyzją Ministra Spraw Wewnętrznych nadano Komendzie Miejskiej Państwowej Straży Pożarnej w Słupsku sztandar, który

W XII Biegu Olimpijskim im. Piotra Nurowskiego w Kwakowie wzięło udział ponad tysiąc biegaczy. Na starcie stanęli też znani olimpijczycy

Tłumy biegaczy w Kwakowie

Bieg odbył się w sobotę, 25 maja. Mimo niezbyt sprzyjającej aury do Kwakowa przyjechali: Kazimierz Adach, Jan Huruk, Mirosława Sagun-Lewandowska, Romuald Rasiak, Bogusława Olechnowicz-Górnicka i Marian Sypniewski. Wśród gotowych do wyruszenia na trasę byli również władze powiatu słupskiego - starosta Sławomir Ziemianowicz i wicestarosta Andrzej Bury. Zawodnicy mieli do pokonania dystans o długości 5,6 km.

Pierwszym, który ukończył bieg był Sebastian Bartnik - pięściarz Czarnych Słupsk. Tuż za nim uplasował się Natan Konzewicz - również zawodnik klubu pięściarskiego. Jako trzeci na mecie zameldował się Mateusz Hesse z Kobylnicy. Wśród kobiet także najlepsze okazały się zawodniczki Czarnych Słupsk



Fot. J. Maziejuk

- Anna Januszewska i Kamila Zawół. Jako trzecia na mecie była Magdalena Zinkowska z Wrzącej.

Najlepsi biegacze otrzymali puchary. Wśród wszystkich, którzy wyruszyli



Fot. J. Maziejuk

a pożytek



przekazał komendantowi Andrzejowi Gomulskiemu - nadbrygadier Marek Kowalski, zastępca komendanta głównego PSP.

Po tej ceremonii odczytano komunikaty o nadaniu odznaczeń i nominacji na wyższe stopnie. Oprócz medali i awansów na strażaków czekały również nagrody. Jeden z uhonorowanych swoją nagrodę przekazał pogorzelnikom uszkodzonym w

pożarze kamienicy przy ulicy Krasieńskiego w Słupsku.

Uroczystości zakończyła defilada strażaków oraz pokaz musztry paradowej. **(T.C.)**

na trasę biegu rozlosowano atrakcyjne nagrody rzeczowe, m.in. rowery górskie. Nagrody te wręczyli starosta, wicestarosta i wójt gminy Kobylnica - Leszek Kuliński. Każdy z przekraczających metę sportowców otrzymał specjalny dyplom potwierdzający uczestnictwo w biegu, który tradycyjnie zorganizowali: Uczniowski Klub Sportowy „Olimpijczyk” w Kwakowie, Polski Komitet Olimpijski, Urząd Marszałkowski Województwa Po-



morskiego, Urząd Gminy w Kobylnicy, Gminny Zespół Ekonomiczno-Administracyjno-Gospodarczy Szkół oraz Gminne Centrum Kultury i Promocji w Kobylnicy. **(T.C.)**



W słupskim starostwie można było obejrzeć wystawę Krzysztofa Sokala pn. „Mieszkańcy lasu”

Fotografuje zwierzęta

Wystawę ustawiono w holu na pierwszym piętrze budynku starostwa. Krzysztof Sokal to pracownik Lasów Państwowych i jednocześnie zapalony fotografik. Ukończył Technikum Leśne w Warcinie oraz Wydział Leśny Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu. Od dzieciństwa mieszka w Kępicach, a lasy okolic Warcina są jego drugim domem. Fotografuje je od dwunastu lat. Jest członkiem Słupskiego Klubu Fotograficznego „Fotoaktywni”.

„Mieszkańcy lasu” to pierwsza tak ważna wystawa autora, to zdjęcia, a właściwie portrety jego znajomych z lasów. Ulubionym motywem Sokala są bowiem zwierzęta - stąd też i tytuł wystawy. Jego zdjęcia pokazują zwierzęta w ich naturalnym środowisku, niejako w trakcie „codziennych zajęć”. Oglądając jego fotografie ma się wrażenie, że jelenie, dziki czy lisy są z nim zaprzyjaźnione, współpracują z fotografem, zdradzają swoje zwyczaje, są zaciekawione i pozwalają się portretować. Pory fotografowania - o świcie, zmierzchu nadają zdjęciom swoistej kolorystyki.

Wystawa była wydarzeniem kulturalnym w starostwie. Jej oficjalne otwarcie,



25 kwietnia br. zgromadziło liczne środowisko leśników z powiatu i regionu. Autor spotkał się z dużym uznaniem i jednocześnie zaskoczył wielu swoimi umiejętnościami. Pokazał, że mimo młodego jeszcze wieku, jest już swoistym mistrzem w fotografowaniu leśnych zwierząt w ich naturalnym otoczeniu.

W otwarciu wystawy wzięli udział obaj starostwie słupscy - Sławomir Ziemanowicz i Andrzej Bury, którzy gratulowali autorowi jego pasji i talentu. **(mw,z)**

W Sali Lustrzanej damnickiego pałacu wyróżniono statuetkami „Daję radość” osoby i instytucje angażujące się w niesienie pomocy osobom niepełnosprawnym

Marzenia o przyszłości

W tym roku Kapituła pracująca pod przewodnictwem ks. Jerzego Wyryzkowskiego z Duninowa do wyróżnień Starosty Słupskiego za niesienie pomocy osobom niepełnosprawnym wytypowała czterech kandydatów. Statuetki „Daję radość” otrzymali: Tomasz Keler - młody filmowiec, fotograf z Centrum Inicjatyw Obywatelskich w Słupsku, Zdzisław Grabiński - taksówkarz z korporacji Taxi Vigor, Grażyna Radomska - prezydent Stowarzyszenia Kiwanis International w Słupsku i Wodociągi Słupsk Sp. z o.o.

Statuetki wręczył laureatom starosta słupski - Sławomir Ziemianowicz. Tomasz Keler w 2011 roku przygotował wystawę fotograficzną, której tematem było codzienne życie osób niepełnosprawnych oraz ich rodzin. Jak sam wówczas mówił: „wykonane i przygotowane na wystawę zdjęcia to próba zmierzenia się z tematem niepełnosprawności i wykluczenia osób niepełnosprawnych, to próba

zrozumienia, dlaczego czyjaś ułomność wzbudza w osobach w pełni sprawnych tak skrajnie różne emocje”. Zaprezentowane

dzi zdrowych. W roku ubiegłym nakręcił krótkometrażowy film pt. „Zobacz we mnie człowieka”, opowiadający o nie zawsze ła-



Fot. J. Maziejuk

Fot. J. Maziejuk

przez niego fotografie to historie osób dotkniętych kalectwem oraz ich najbliższych, to opowieść o radościach i smutkach osób, których życie tak bardzo zależy od nas - lu-

twych relacjach między ludźmi niepełnosprawnymi a sprawnymi. W tym roku podjął się kolejnego zadania polegającego na opowiedzeniu o marzeniach osób z niepeł-

Co nas wyróżnia?

Według użytkowników serwisu internetowego, którzy wzięli udział w sondzie nt. „Co wyróżnia powiat słupski spośród innych powiatów w Polsce?”, najbardziej wyróżniają powiat słupski ruchome wydmy w Słowińskim Parku Narodowym. Jako kolejny walor wskazano dostęp do morza z piaszczystymi plażami i uroczymi klifami. Na kolejnych miejscach znalazły się Kraina w Kratę, szlaki rowerowe i kajakowe oraz wydarzenia regionalne.

Za najmniejszy wyróżnik uczestnicy sondy uznali muzea, mikroklimat i imprezy kulturalne. (D.W.)



nosprawnością, na gali rozdania statuetek zaprezentował film, który zatytułował „Marzenia o przyszłości”.

Zdzisław Grabiński razem z kolegami z korporacji Taxi Vigor w Dniu Dziecka w ubiegłym roku zrobił podopiecznym Specjalnego Ośrodka Szkolno-Wychowawczego w Damnicy miłą niespodziankę, przywożąc im piłki oraz worek słodyczy. W grudniu na spotkanie mikołajkowe przywiózł z kolegami kolejne prezenty. Dowiedział się, że jeden z uczniów marzył o zegarku i spełnił jego marzenie. Ufundował też zestaw kosmetyków dla uczennicy, która o taki prosiła. Najmłodszy podopieczni ośrodka otrzymali pluszowe maskotki. W lutym br. dzieciom sprezentował treningowy, stacjonarny rower. Na Wielkanoc także przywiózł do ośrodka w Damnicy kolejne upominki, ciastka i słodycze. Teraz jest

zaangażowany w pozyskanie funduszy na zorganizowanie wycieczki dla grupy dzieci do ZOO w Gdańsku.

Grażyna Radomska od wielu lat jest zaangażowana w działalność na rzecz niepełnosprawnych dzieci. Co roku uczestniczy w Dniu Godności i przekazuje czek gotówkowy na rzecz Ośrodka w Damnicy. Tak też zrobiła w tym roku. Klub Kiwanis którym kieruje przekazał też dzieciom komputer z osprzętem i zlecił uszyć ponad 100 lalek kiwanisek, które są jego znakiem rozpoznawczym.

Spółka Wodociągi ze Słupska od ponad siedmiu lat wspiera m.in. Warsztaty Terapii Zajęciowej Polskiego Związku Niewidomych, przekazując darowizny i zestawy komputerowe. Wspiera również finansowo wiele organizacji, któ-

wyróżnieni za serce i spełnione marzenia

re pomagają osobom niepełnosprawnym. Zakupuje sprzęt i wyposażenie.

Choć, jak stwierdził ks. J. Wyrzykowski, Kapituła w tym roku nie miała trudne-



Fot. J. Maziejuk

go wyboru, to wyróżnieni laureaci wykazali się dużą wrażliwością i wyjątkową aktywnością w stosunku do osób niepełnosprawnych.

Tomasz Jusiewicz, Słupsk



Fot. J. Maziejuk

Będą konkurencyjni



Fot. ZSOiT w Uście

Certyfikat pomoże młodzieży być konkurencyjną na rynku pracy

Młodzież z Zespołu Szkół Ogólnokształcących i Technicznych w Uście przebywała na praktykach zawodowych w Niemieckim Schkeuditz, niedaleko Lipska. Praktyki zorganizowano w ramach projektu Leonardo da Vinci - „Ucz się przez całe życie”. Działaniami objętych jest 35 uczniów technikum o specjalnościach: technik hotelarstwa i technik handlowiec, którzy muszą odbyć praktyki. Projekt jest ciekawą alternatywą dla krajowych praktyk, a certyfikat potwierdzający odbycie stażu pomoże młodzieży być konkurencyjną na rynku pracy.

Młodzież miała dodatkowe zajęcia z języka niemieckiego i angielskiego oraz brała udział w spotkaniach kulturalnych. Otrzymała słowniki, rozmówki polsko - niemieckie, ubrania robocze, ubezpieczenie, mapy, pomoc w dotarciu do zakładu pracy i bilety miesięczne na przejazdy komunikacją miejską. Miała też zapewnioną fachową opiekę, wyżywienie, noclegi i drobne kieszonkowe.

Zamierzeniem usteckich pedagogów jest, aby praktyki odbywały się też w Hiszpanii. **(K.O.)**

szkolne praktyki

Jak powstała „Pereł



ność zabawy najnowszym tabletem lub odtwarzaczem muzyki? Nie chodzi jednak o to, by umieć przeliczyć wszystko na złotówki, ale raczej, by pamiętać o wszystkich konsekwencjach naszych wyborów. Sporo osób, robiąc zakupy, kieruje się aktualnymi promocjami i krąży między sklepami, by w jednym markecie kupić w korzystniejszej cenie wędlinę, w drugim proszek do prania, a w trzecim owoce itd. Rzecz w tym, by poniesione koszty w nieprzemysłany sposób nie spowodowały utracenia możliwego zysku i by nie przeszły nam koło nosa, na przykład wymarzone wakacje.

A skoro o rekreacji mowa - chciałbym podzielić się swoimi przemyśleniami i decyzjami, jakie przyszło mi podjąć odnośnie wypoczynku mojej rodziny. W specyficznym okresie, jakim jest polska majówka (w tym roku można było zebrać aż dziewięć dni biorąc trzy dni urlopu) podjąłem z żoną decyzję o spędzeniu tych dni w Bieszczadach. Była to nasza świadoma decyzja i zdawali

śmy sobie sprawę, że musimy zrezygnować z innych przyjemności, gdyż ten wyjazd nie był przewidziany w naszym rodzinnym planie wydatków. Tak więc dylemat zakupu tabletu czy lokaty w banku sam się rozwiązał. Postanowiliśmy spędzić wolny czas z całą rodziną, podziwiając piękno Bieszczad, a jednocześnie wrócić do swoich wspomnień, kiedy to jako harcerze braliśmy udział w operacji „Bieszczady 40”. Udaliśmy się więc do zaprzyjaźnionej rodziny w pobliżu Ustrzyk Dolnych, która prowadzi gospodarstwo agroturystyczne na tamtym terenie. Z dała od głównych szlaków turystycznych, obcując z przepiękną przyrodą i poznając nowych ludzi, miło spędziliśmy cały pobyt. Wyjazd w Bieszczady pozostał wspólnym czasem na łonie natury wśród górskiej przyrody, a przede wszystkim żyjących tam ludzi. Wracając jednak do naszej zasady, czy łatwo jest wyliczyć i porównać koszty utracone (nie naruszone fundusze rodzinne) z przeżyciami wspaniale spędzonego czasu - może tak, ale zależy od danej osoby, co dla niej w danym momencie stanowi większą wartość. Dla niektórych będzie to możliwość spaceru z bliską osobą, dla innego zakup roweru w celu wypraw turystycznych, dla jeszcze innego zakup domu lub innej wartościowej rzeczy.

Po powrocie z majówki w górach byłem ciekawy, czy w naszej okolicy znajdują się podobne agroturystyczne gospodarstwa, które tak jak górale potrafią ugościć przyjezdnych, ot tak „po domowemu”. Moje poszukiwania nie trwały długo i chciałbym się podzielić ich rezultatem.

W niedalekiej odległości od Słupska we wsi Łosino znajduje się gospodarstwo

*Jak to jest,
że jedni poświęcają
wolną chwilę na
pójście na spacer,
do koleżanki
na plotki, na
oglądanie telewizji,
czytanie książki
czy siedzenie
przy komputerze,
drudzy zaś wolą
powiększać swoje
oszczędności
poprzez dodatkową
pracę lub inne
zajęcia?*

Codziennie spotykamy się z problemami ekonomii, których znajomość może nam bardzo pomóc w podejmowaniu decyzji, aby ograniczyć możliwe ryzyko jej skutków. Często postrzegamy się jako osoby zaradne, bo potrafimy znaleźć towar w najlepszej cenie, najkorzystniej oprocentowaną lokatę i najbardziej opłacalny abonament telefoniczny. Jednakże są chwile, gdy nasza „ekonomiczna logika” nas zawodzi i podejmujemy decyzję daleką od naszych oczekiwań. Powód takiego błędu może być związany z pojawieniem się „kosztu alternatywnego”, który nazywany jest również „kosztem utraconych możliwości”. Jaki ma to związek z naszym codziennym życiem?

Otóż pojęcie kosztu utraconych możliwości dotyka nas bezpośrednio, kiedy podejmujemy decyzję w sytuacji, w której nie możemy posiadać dwóch rzeczy jednocześnie i musimy zdecydować się tylko na jedną z braku wystarczającej gotówki lub innych powodów. Znane powiedzenie „nie można zjeść ciastka i mieć ciastko” najtrafniej obrazuje powstającą trudność. Przyjrzyjmy się z bliska konkretnej sytuacji, która była rozważana w mojej rodzinie, a dotyczyła otrzymanej nagrody finansowej w pracy. Stanęliśmy przed podjęciem decyzji, czy dokonać zakupu wymarzonego gadżetu elektronicznego (tablet), czy odłożyć pieniądze w banku na procent. Jeśli zdecydujemy się na zakup tabletu, „utracimy” nie tylko naszą gotówkę, ale i określony procent, który otrzymalibyśmy z posiadanej kwoty odłożonej na możliwie najkorzystniejszej lokacie. Z drugiej strony, ile dla nas warta jest przyjem-

Fot. Archiwum Autora

Fot. Archiwum Autora

„Perłka” w Łosinie?

agroturystyczne o jakże pięknej nazwie „Perłka”, którego właścicielką jest pani Krystyna Podlas, a dzierżawione jest przez pana Mirosława Podlas. Znaleźć to miejsce nie jest łatwo, ponieważ brak jest kierunkowskazów (jak się później dowiedziałem jest to nie jedyny problem gospodarzy), lecz trud się opłaca. Jest to pięknie położone w lesie, nieopodal przepływającej rzeki gospodarstwo, które wita przybyszy urzekającym naturalnym klimatem. Świeże powietrze, szum rzeki, śpiew ptaków, zapach żywicy oraz ciepłe i przyjazne twarze gospodarzy - to wszystko wytwarza niepowtarzalną atmosferę tego miejsca. Poprosiłem panią Krystynę i pana Mirosława o zaprezentowanie swojej działalności.

Wysłuchałem wspaniałej lekcji, jak własną pracą oraz poświęceniem, a niejedno-

je marzenia - mówi pani Krystyna. - Czasami było bardzo ciężko, ale nigdy się nie poddawałam. Czasami rezygnowałam z innych rzeczy, ale byłam pewna, że to dobra inwestycja. Rzeczywiście, przebywając w tym gospodarstwie widziałem wtopione w naturę domki wypoczynkowe, plac zabaw dla dzieci, wspaniałe urządzone miejsce do wspólnego biesiadowania oraz staw dla wędkarzy, a co najważniejsze - przestrzeń i naturę. - Ciosem w serce był 2010 rok, kiedy to spłonął reprezentacyjny dom - wizytówka naszego gospodarstwa i wtedy, chyba po raz pierwszy zastanawiałam się nad kontynuacją przedsięwzięcia, lecz coś mnie pchało do przodu. Odkąd pamiętam zawsze byłam pełna optymizmu i chęci działania, i obce mi było i jest siedzenie w domu. W tym czasie postanowiłam przekazać kierownictwo Mirosławowi, a sama zająć się realizacją moich marzeń.

Pożar był punktem zwrotnym w istnieniu gospodarstwa agroturystycznego „Perłka”, ale nie jego końcem, a nawet, jak wynikało z rozmowy z panem Mirosławem, niemalże rozkwitem. W planach pana Mirosława jest rozbudowa gospodarstwa oraz wprowadzenie rozlicznych atrakcji. - Chciałbym, aby osoby tu przebywające

miały możliwość organizowania spływu kajakowego po rzecze Słupi, lecz takie działanie obwarowane jest wieloma wymaganiami. Jestem jednak dobrej myśli i mam nadzieję, że z czasem będę mógł proponować w mojej ofercie spływ kajakowy - mówi pan Mirosław. - Do takiego cichego mojego marzenia należy hodowla koni w celach rekreacyjnych i wierzę, że będzie to realne. To byłaby przysłowiowa kropka nad „i” w naszej działalności.

Jak się zorientowałem, jest to proces trudny, gdyż gospodarstwo mieści się na skraju Parku Krajobrazowego „Dolina Słupi” i wszelkie pozwolenia na działalność w parku są obwarowane przepisami. Wiem dobrze, że chcąc korzystać z takich urokliwych miejsc, należy je chronić, lecz wszystko musi się dziać w granicach rozsądku. Zakaz jakiegokolwiek działalności, nawet proekologicznej nie służy rozwojowi turystyki, a na pewno utrudnia znacząco. Tu pojawia się kolejny dylemat: czy rozwijamy turystykę naturalną, obcującą z przyrodą, z wszystkimi przyjemnościami i konsekwencjami także zachowania ekologicznego postępowania, czy tworzymy pomniki przyrody dla przyszłych po-

koleń? Jak to wycenić, jak wyliczyć koszty utracone w jednym lub drugim przypadku, a może jest sposób połączenia „ognia z wodą”. Myślę że taka właśnie możliwość istnieje, wymaga to ustępstw zarówno ze strony zarządzających takimi parkami, jak i osób prowadzących działalność agroturystyczną. Wzajemne poszanowanie interesów i wspólnota troska o środowisko mogłaby być korzyścią dla wszystkich. Do takich problemów należy w gospodarstwie agroturystycznym „Perłka” częsta wizyta stada dzików, które jak to zwierzęta nie znają granic i żerują, gdzie im wygodnie. - Jest to utrudnienie dla nas i naszych gości - mówi pan Mirosław. - Radzimy sobie z tym problemem ogradzając teren, mając nadzieję, że dziki nie sforsują zapory. To są blaski i cienie przebywania w środowisku naturalnym.

Po rozmowie zostałem zaproszony na wspólną biesiadę przy ognisku; jakież było moje zdziwienie, kiedy usłyszałem rozmowę w kilku językach. W gospodarstwie agroturystycznym „Perłka” gościli znajomi gospodarzy z Belgii, Niemiec, Skandynawii oraz z Polski. W tym międzynarodowym towarzystwie przyjemnie spędziłem resztę wieczoru i powróciłem do domu z myślą o ponoszeniu lub nie ponoszeniu kosztu za swoje decyzje. Jak to jest, że jedni poświęcają wolną chwilę na pójście na spacer, do koleżanki na plotki, na oglądanie telewizji, czytanie książki czy siedzenie przy komputerze, drudzy zaś wolą powiększać swoje oszczędności poprzez dodatkową pracę lub inne zajęcia? Czasem można połączyć dwie czynności, ale najczęściej trzeba dokonać wyboru.

Wiele nieporozumień wynika z niezauważania, że każdy z nas na swój sposób dokonuje określenia poszczególnych możliwości, jakie ma do dyspozycji. Ktoś, dla kogo wysoką wartość ma na przykład jazda na nartach wodnych, a zimą na nartach w górach, będzie uważał, że kto inny marnuje czas na przykład na czytaniu książek o ekonomii lub biznesie. Tymczasem dla tego drugiego czas przeznaczony na fachową lekturę będzie miał inny wymiar. Na koniec kłania się nam druga zasada ekonomii: „Kosztem jest to, z czego musisz zrezygnować, aby osiągnąć swój cel, czyli sztuka ekonomicznych decyzji”. Musimy powrócić znowu do kosztów alternatywnych. Warto sobie zdawać sprawę, że podejmując jakieś działanie, nie podejmujemy wielu innych, czy to w działalności gospodarczej, do której najczęściej odnosi się pojęcie kosztu alternatywnego, czy również w życiu prywatnym.

dr Mirosław Betkowski, Słupsk

W następnym odcinku o trzeciej zasadzie ekonomii: „Racjonalni ludzie biorą pod uwagę wielkości krańcowe”, czyli będzie o tym, czy wyprzedaże i obniżki cen towarów i usług w określonych okresach są zyskiem dla producentów, czy stratą? Czy czasami warto coś wytworzyć po niższych cenach, co może przynieść większy efekt końcowy?



krotnie wyrzeczeniami, powstawało to urokliwe miejsce; ale zaczniemy od początku. Pani Krystyna wspomina początek swojej działalności w biznesie jako ciężką i pouczającą drogę, „raz z górki, raz pod górę”. - Zaczynałam dosyć wcześnie - mówi pani Krystyna - miałam się różnych zajęć, hodowałam różne zwierzęta, nawet tak egzotyczne jak dżdżownice kalifornijskie. W dalszej rozmowie dowiedziałem się, że pani Krystyna prowadzi jeszcze kilka interesujących projektów, lecz - jak sama mówi - trzeba wiedzieć, kiedy należy zmienić działalność. Należy się zastanowić nad tym, co zyskam inwestując dalej, a co w tym samym czasie mogę stracić? I po tym zastanowieniu należy podjąć właściwą decyzję. Czy nie należałoby może podjąć innej działalności, a obecną pozostawić? Niejednokrotnie z takimi problemami spotykała i spotyka pani Krystyna. Od kilku lat jej pasją jest agroturystyka. Każdą wolną chwilę poświęcała swojej wizji i marzeniom, aby stworzyć miejsce, do którego chętnie się przyjeżdża, a jeszcze chętniej powraca.

- Wszystko, co znajduje się w gospodarstwie agroturystycznym „Perłka” tworzyłam własnym wysiłkiem, realizując swo-

Najpierw powojenne zmiany granic i porządku społecznego wyznaczały nowe nadzieje i pierwsze rozczarowania. Osadnicy, przesiedleńcy, migranci poszukujący swojego miejsca na życie siłą rzeczy wszystko traktowali jako niepewne, tym bardziej, że ciągle towarzyszyła im obawa, czy nowy porządek nie obróci się w pył. Traktat jałtański nie dawał żadnych gwarancji, a do roku 1972 granica zachodnia nie była umocowana traktatami ani dwustronnymi, ani międzynarodowymi. Ponadto o braku stabilności świadczyły ciągle zmiany administracyjne: zamiast gromad tworzone gminy, zmieniając jednocześnie siedziby urzędów; zmieniano granice powiatów, tworzone i znoszone województwa. „Gmina wówczas mieściła się w Wytownie, przeniesiona w początku 1947 roku do Grabna, a dopiero w maju 1952 przeniesiona do Objazdy” - odnotuje Roman Zub w Kronice. Mieszkańcy Pomorza Środkowego byli pod administracją wojewódzką w Szczecinie, Koszalinie i w Słupsku. Kształtował się typ mentalności ludzi oderwanych od korzeni kultury macierzystego regionu, pierwszych więzi sąsiedzkich i ekonomicznych, a wzrastało poczucie tymczasowości, niepewności, braku bezpieczeństwa. Podały go ówczesne władze polityczne brakiem troski o materialne dziedzictwo przeszłości. Budynki mieszkalne, dwory, pałace, maszyny, przedmioty codziennego użytku, oczywiste pamiątki historii ziem nazwanych odzyskanymi nie miały należytego poszanowania. Zabrakło emocjonalnego zainteresowania i pieczołowitości wobec zastanych dóbr doczesnych, pamiątek przeszłości najoczywistszych, takich jak cmentarze, i nie dotyczyło to tylko pracowników PGR, choć w tej grupie społecznej ten rys mentalności był najbardziej widoczny.

Objazda dzięki swemu kronikarzowi - Romanowi Zubowi, który przybył do Lasek (dziś Dębina) spod Krasnobrodu - szczyści się spisana kroniką wydarzeń pierwszych powojennych lat. Kronikarz wymienia osoby i pierwsze urzędy tworzone we wsi już w 1945 roku, a pierwszy sołtys wsi, Feliks Kozub, który jako robotnik przymusowy przeżył w Wobesde wojnę, przechował przez wiele lat pierwsze dokumenty: Księgę Sołtysa i sporządzony odręcznie Wykaz pracowników majątku Objazda oraz ich rodzin. Pierwszymi mieszkańcami wsi byli ci, którzy zdecydowali się zostać oraz Polacy przybywający tu w czasie wojny na robotach przymusowych. Wkrótce wieś zaludniła się na nowo. Przybywali osadnicy wojskowi, uchodźcy zza Buga i ci, którym ciasno było w rodzinnym domu. Już w lecie 1945 roku przybywali pierwsi: spod Bydgoszczy, z Kielecczyny i innych stron.

Tworzyła się nowa administracja, urzędy, oświata, życie kulturalne, wśród zastanej infrastruktury. Pojunkierski majątek w Objęździe najpierw przejęli Rosjanie, następnie przekazali w zarząd nowo tworzonemu wła-



Co po pegeerze?

*Kamień często przetaczany mchem
nie obrośnie, powiada ludowe przysłowie.
Tak było i z ludźmi z PGR-ów*

dzom miejscowym. Pałac posadowiony na terenie ponadhektarowego parku z rzadkimi okazami drzew, z rozmieszczonymi obok okazałymi zabudowaniami gospodarczymi należało wykorzystać. Ponadto w majątku od 1869 roku funkcjonowała gorzelnia, jej znaczenie pod nową administracją nie uległo zmianie. Nad krajobrazem wsi górował wysoki murowany komin. Majątek połączony z innymi miejscowościami siecią kolei wąskotorowej stanowił prawdziwe centrum gospodarcze okolicy. Niestety, Rosjanom potrzebne były szyny, więc do dyspozycji nowych władz pozostały nasypy i bezużyteczne w tej sytuacji budyneczki stacyjne.

Obecnie nasypem wiedzie trasa rowerowa zwana potocznie „szlakiem zwiniętych torów”, wymagająca troski, jeśli ma spełniać współczesne standardy ścieżek rowerowych. Ślady dawnej stacji kolejowej można odnaleźć na wysokości przecięcia drogi Objazda - Rowy i dawnego nasypu kolejowego w Bałamątku. Gorzelniany komin wciąż jest dobrym znakiem orientacyjnym, ale gorzelnia została zamknięta około roku 1989 - w czasie likwidacji PGR. W roku 2005 nowy prywatny właściciel rozpoczął częściową rozbiorę i przebudowę obiektu. Zapał mignął szybko. Rozsypały się drewniane rusztowania. Potężny komin pozostał, ale jaki będzie jego los? Opuszczony budynek z rozetą z datą budowy nikomu nie służy, a nie konserwowany komin stanowi zagrożenie.

W 1945 w pałacu urządzono biura i mieszkania pracowników miejscowego PGR. Od lat sześćdziesiątych do 1993 roku miesiła się tu szkoła podstawowa. Obecnie pałac i park są własnością prywatną - od czasów, gdy prywatne ma wyższą ran-

gę niż społeczne. Wielkie zamiary na centrum konferencyjno - wypoczynkowe muszą czekać lepszych czasów z nadzieją na dotację. Wpisanie budynku pałacowego do rejestru zabytków nie ułatwiło zadania jego odbudowy i przywrócenia do życia. Mieszkańcom zabroniono wstępu do parku ogrodzonego wysokim murem, pałac niszczeje, a w dawnych budynkach gospodarczych urządzono mieszkanie do sprzedaży czy wynajmu i biura.

Wtedy, w 1945 roku, poza mieszkaniami osadnicy potrzebowali pracy. Nie trzeba udawać, że przybywali tu ludzie majątni. Analiza listy pierwszych pracowników majątku, jak przez długie lata nazywano państwowe gospodarstwo rolne, świadczy o włączeniu do pracy całych rodzin oraz przejściu zawodów znanych z przedwojennych majątków ziemskich. Związek z „majątkiem” dotyczył wszystkich sfer życia: pracy, mieszkania, zaopatrzenia, wypoczynku, rozrywki. Stawał się rodzajem uzależnienia. Z biegiem lat PGR-y zmieniały się. Po komasacji gruntów, nierzadko z krzywdą dla indywidualnych rolników, potrzebne były nowe maszyny i techniki gospodarowania. Zamiast koni na pole wyjechały traktory i kombajny. Ręczną pracę dojarek - kobiet zastąpiły dojarki mechaniczne.

Wreszcie nastał boom lat gierkowskich! Powstawały wiejskie osiedla mieszkaniowe z centralnymi kotłowniami, nieodpłatnie dostarczaną wodą zimną i ciepłą, a obok nowoczesne obory, tak zwane pięćsetki, czyli obiekty mieszczące pięćset sztuk bydła, z nowoczesnymi udojniami. Kombinat PGR Objazda utrzymywał blisko dwa tysiące krów! Podstawą utrzymania

były objejskie łąki, przez które wiodła droga wyłożona betonowymi płytami jumbo. Zwożono tędy siano, trawę na kiszonki i susz, wypędzano krowy na pastwiska. Teraz sieć rowów melioracyjnych zarosła, utrzymywane są tylko główne kanały, a na łąkach w koplach pasą się pojedyncze sztuki bydła lub chodzą samopas krowy z Retowa po zrytych przez dziki pastwiskach.

Do agrotechniki włączono małe samoloty do rozsypywania nawozów i środków ochrony roślin. Zatrudniano agronomów, zootechników, ekonomistów. Technika rolnicza i rolnicze szkoły zawodowe dawały wykwalifikowanych pracowników. Powstały stołówki, klubo-kawiarnie, świetlice. Pracownicy otrzymywali mleko, ziemniaki, ogródki działkowe i wysokie „trzynastki”. Coraz mniej było „wędrównych” rodzin. Wydawało się, że nadszedł czas stabilizacji.

W t e d y wszystko pękło jak szklana bańka. Pegeery uznano za kwintesencję epoki, która miała odejść. Nikt nie zastanawiał się, co się stanie z ludźmi i substancją materialną: ziemią, budynkami, maszynami. Tym miała się zająć Agencja Własności Rolnej Skarbu Państwa - utworzona w 1991 roku. Głównym zadaniem było gospodarowanie przejętym po PGR-ach majątkiem, a w szczególności

prowadzenie prywatyzacji i tworzenie nowych gospodarstw oraz miejsc pracy dla byłych pracowników państwowych oraz gospodarstw rolnych. Wyszło jak zawsze. Wkrótce Agencja została przekształcona w Agencję Nieruchomości Rolnych. W latach 1991 - 1993 zlikwidowano wszystkie PGR-y, kusząc pracowników pieniędzmi z tzw. „odpraw”. Likwidacja PGR-ów była kresem modus vivendi wielu rodzin, ponieważ były one - PGR-y - nie tylko miejscem pracy, przede wszystkim stanowiły środowisko zaspokajające prawie wszystkie potrzeby życiowe pracowników.

Poetka Anna Karwowska pisze:

*ko rzucił kamieniem prosto w twarz
nie ma się komu pożalić
dusza ciężka od wspomnień serce od krzywdy
nikt nawet nie śni aby coś zmienić
pytam Ojczyznę
gdzie jest ten huragan co pegeery rozwalił
skąd zawiął wiatr co ludzi rozwiął po świecie*

Opuszczone wsie, pola porośnię chwastami lub leśnymi samosiejkami, brak perspektyw wypędzający młodych za granicę, dojmujące poczucie krzywdy i powracający syndrom tymczasowości. Koło się zamknęło. Tylko bunt narasta, a wypowiedzi takich jak niżej jest coraz więcej.

„Po przegranej wojnie Niemcy przesiedlili dwieście tysięcy rolników na teren Prus wspieranych finansowo przez rząd Niemiec. Jest kryzys i tworzenie miejsc pracy to priorytet rządów, tylko czym kosztem. Ziemia po PGR rozgrabiona rękami etosu Solidarności prowadzonej przez kapelanów Watykańu, uwłaszczyli się i w nędzę niebytu skazali mieszkańców wioski. Teraz proszą o poparcie społeczne tych, których okradli, Polaków, chcąc zachować przywileje. Minione

przez Gierka na inwestycje zamiast miejsc pracy przyniosły straty. Tylko nieliczni z rozpadu pegeerów wyszli obronną ręką. Większość pozostała poza nurtem zmian. Nie mają siły przebiccia. Poczucie porażki, przegranej szansy staje na przekór prostym rozwiązaniom i wspólnotowemu działaniu. Nawet wspólnotę mieszkaniową trudno powołać. Zamiast funkcjonującej kiedyś centralnej kotłowni dymi kilkadziesiąt indywidualnych kominów. Pstrokate ściany bloku dają świadectwo, że... „wolność, Tomku, w swoim domu”. Gminny architekt nie wchodzi w uliczki popegeerowskiego osiedla. Wieś zamarała w oczekiwaniu na lidera, który przeprowadzi mieszkańców przez ich Morze Czerwone. Szansą może być, nomen omen, nadmorskie położenie



Fot. J. Maziejuk

dwadzieścia dwa lata rządów przejściowych dokonały spustoszenia na wsi, połowa ziemi z ANR w rękach cudzoziemców.”

Przechodzę często obok okazałych niegdyś budynków gospodarczych PGR, dziś, w najlepszym wypadku, miejsca zabaw w paintball. Ruiny straszą, a kolejni właściciele sprzedanych przez Agencję Nieruchomości Rolnych budynków nie mają pomysłu na sensowne zagospodarowanie nabytych nieruchomości. To miejsca poza decyzjami samorządu gminnego. Znikają olbrzymie betonowe płyty i stalowe konstrukcje. Złomowanie jest najprostszym sposobem akumulacji - stwierdzam z sarkazmem. Pamiętam lata, gdy to miejsce ożywiała praca przy maszynach, dużym stadzie bydła, gdy latem huczały suszarnie, kombajny i traktory. Wieś żyła z rolnictwa. Rozpadł się wysiłek i grosz ludzi, którzy z tym miejscem wiązali plany życiowe. Pożyczki zaciągnięte

„Objazda jest największą i zamieszkaną przez największą liczbę mieszkańców miejscowością znajdującą się na terenie gminy Ustka. Ze względu na swoje położenie jest to przede wszystkim wieś agroturystyczna. - (Załącznik Nr 1 do Uchwały Rady Gminy Ustka Nr XV/158/2008) - piszą autorzy Planu Odnowy Miejscowości opracowanego i zawieszono na stronie internetowej Gminy Ustka. Tak napisano.

By słowo nie pozostało tylko na papierze, choćby urzędowym, potrzebne są konkretne działania w sferze infrastruktury - ścieżki rowerowe z dobrze urządzonymi stacyjkami, dobra informacja i dostęp do zabytków świeckich i sakralnych, szkolenia dla prowadzących działalność agroturystyczną oraz akcje promocyjne.

Tymczasem jak jest, każdy widzi.

Czesława Długoszek
Objazda

Amatorka o profesjonala

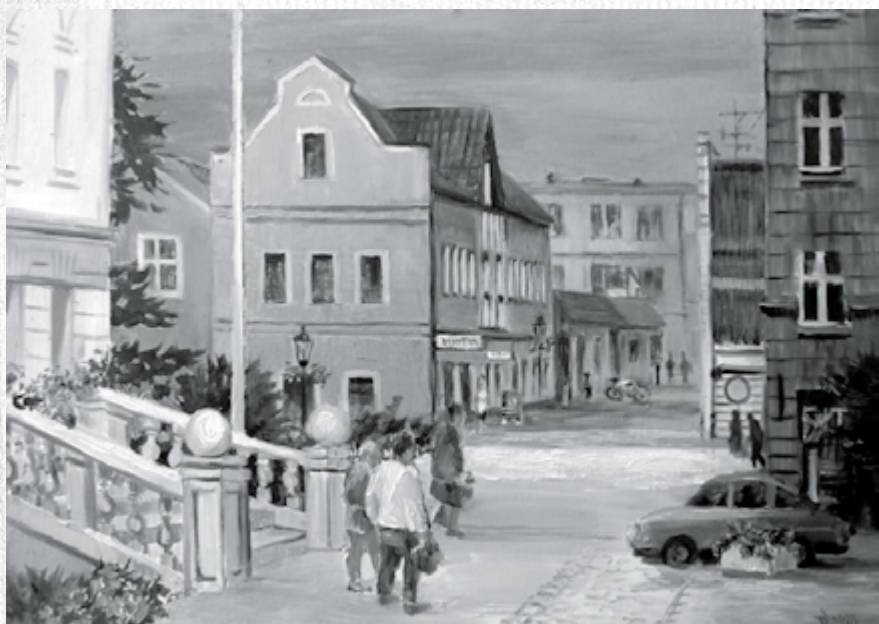
Artysta i jego twórczość, to człowiek i jego dzieło. Takie rozumowanie w konsekwencji przybliża nam osobowość ludzką. Człowiek dzisiejszy, uważający się za nowoczesnego, nadal stanowi jedność ciała, umysłu i duszy, ale kształtuje swoją wiedzę i świadomość w odmiennych warunkach i tym samym ma inną percepcję. Wszystko w czym wyraża się jego życie ma postać indywidualną, ma swoją ekspresję, może być w istocie bardziej abstrakcyjne.

Ciekawe jest pytanie, jak rodzi się artysta? Czy posiada określone uzdolnienia, czy jest obdarzony samoistnym talentem? Te cechy ponoć posiadamy już od wieku dziecięcego, a później rozwijamy nasz artystyczny genotyp, który z talentu albo otrzymanych przez naturę uzdolnień przetradza się w pasję życiową. Z latami, poprzez nabywanie coraz nowszych doświadczeń życiowych w przekazywaniu i dzieleniu się swoją wizją świata, tworzymy to co nazywamy osobowością artystyczną. Artysta uprawia tę dziedzinę twórczości, do której ma predyspozycje, i która wynika z jego pasji życiowych, a sam wykazuje działanie do ciągłych poszukiwań twórczych.

Przykładem takiego artysty jest malarka Wirginia Buraczewska ze Słupska, która jest nie tylko osobą o niewyczerpanym talencie, ale posiada jeszcze szczególną osobowość - w pełni eteryczną i artystyczną. Jest osobą skromną i pedantyczną, w tym co robi, co mówi i tworzy, można powiedzieć, że jest prawdziwa bez cienia ludzkiej obłudzie. Życie Wirginii ma swoje odzwierciedlenie w uprawianej sztuce. Przemawia do nas jej dusza artystyczna, forma wypowiedzi i jasność widzenia.

Z Wirginią spotkałem się pod koniec lat siedemdziesiątych w Biurze Planowania Przestrzennego w Słupsku, gdy podejmowałem pracę kierownika pracowni do planowania gmin. Wirginia, do której zwracaliśmy się ciepło Winia - pracowała jako plastyczka i wykonywała tytaniczne prace finalizowania ogromnych plansz kartograficznych. Wspominam jej umiejętne dobieranie kolorystyki i odcieni do tematycznych map wynikających z ustaleń legendy, jej zaangażowanie i pracowitość.

Winia była dla kolegów z pracy osobowością enigmatyczną, wy-



Obrazy Wirginii Buraczewskiej posiadają swoistą duszę, ciepło i lirykę. Zostały docenione i wyeksponowane w Muzeum Pomorza Środkowego, gdzie wzbogacają Dział Etnografii

rażającą się małą dostępnością, dystansem do ludzi, małomównością i zawsze prezentowała wyważone zachowanie w wyrażanych opiniach. Z tego okresu wspominam ją jako osobę czynną, szlachetną, dobrą koleżankę w pracy. Mówię o tych cechach osobowości artystki, która już w tym czasie miała swoje pasje malarskie, a nam ówczesne były one mało znane, później jednak dostrzeżone stanowiły miłe zaskoczenie.

W 1993 roku założyła własną firmę - Wirginia Buraczewska, malowanie obrazów. Podstawowy temat wykonywanych prac to Słupsk w akwareli. Działając w Klubie Plastyka im. Stefana Morawskiego uczestniczy w latach 1996 - 2003 w wielu plenerach, wystawach poplenerowych i konkursach, a w konkursie na rysunek pt. „Autograf piórkim i tuszem” uzyskuje pierwszą nagrodę.

W 2006 roku miała pierwszą dużą wystawę w herbaciarni Richtera w Słupsku, zorganizowało ją Mu-



Fot. Archiwum Autora

zeum Pomorza Środkowego. Grono najbliższych przyjaciół było zaskoczone przygotowaną ekspozycją i możliwościami twórczymi artystki. Malarka ze wzruszeniem dziękowała za tę bardzo udaną pierwszą indywidualną prezentację swoich prac, a były to pastele dużych formatów.

alnym spojrzeniu na świat

Następnie kilkakrotnie podziwiałem zaawansowaną już twórczość malarki, wystawianą w zbiorowych ekspozycjach w Kaplicy św. Jerzego. Zainteresowanie wzbudzały olejne pejzaże i piękne kompozycje. Należy podkreślić, że olejne obrazy stanowią większość malarskiej twórczości Wirginii Buraczewskiej.

W twórczości malarki dostrzec można fascynację miastem, a szczególnie słupską architekturą dawną. Artystka w Słupsku mieszka od 1945 roku i spostrzega piękno jego starej zabudowy. Te zainteresowania wzbogaciła bezsprzecznie praca zawodowa w pracowni urbanistycznej. Owocem tych zamiłowań do zabytkowej architektury były obrazy przedstawiające architektoniczne zakątki Słupska i jego związki z pejzażem.

W plastycznych kontaktach autorka poszukuje obiektów reprezentujących określone wartości artystyczne i historyczne. Sama mówi, że „uwieczniła najbardziej urokliwe fragmenty starego Słupska”. W swym działaniu jest perfekcjonistką, a szczególnie już w pokazywaniu fragmentów architektonicznych - detali i ornamentu.

Jej dzieła mają perspektywę i koloryt, ale przemawia przez nie też charakter precyzyjnego dokumentalisty. Obiekty historyczne są najczęściej pokazywane w plenerze i przedstawiane jako kompozycja posiadająca głębię koloru, światła, bryły, kształtu. W tej materii artystka odnosi permanentnie sukcesy. Obrazy jej posiadają swoistą duszę, ciepło i lirykę. Obrazy o tej tematyce zostały docenione i wyekspozycjonowane w Muzeum Pomorza Środkowego, gdzie wzbogacają Dział Etnografii. Oglądając je można podziwiać prawdziwy kunszt artystki.

Teraźniejsza twórczość Wirginii Buraczewskiej to malarstwo rodzajowe. Jak sama mówi - obecnie pasjonuje ją ciągle podpatrywanie współczesnego życia, naddążanie za jego dynamiką oraz podkreślanie klimatu i folkloru. Barwność i różnorodność kształtują wizje malarki przenoszone na obrazy. Może to być ruchliwa, uczęszczana zabytkowa ulica, zaułek lub zakamarek, ale

jest to zawsze miejsce szczególne. W wyniku tych obserwacji powstał cykl mimów gdańskich. Jest on owocem inspiracji tymi statycznymi postaciami ulicznymi. Było dla autorki szczególnym wyzwaniem, aby kontynuować ten temat i pokazać takie osoby nie tylko jako współczesne wzbogacenie folkloru ulicy, ale poprzez namalowanie wyrazić ich osobowość i umiejętności artystyczne.

Olejne malarstwo pejzażowe stanowi główny temat wypowiedzi artystki. Jest to malarstwo kontemplujące, refleksyjne, wymagające studiów nad krajobrazem, utrzy-

nerze Malarsko - Rzeźbiarskim w Kotowie, w powiecie grodziskim. Powstały tutaj nowe obrazy, które poszerzyły krąg tematyczny jej malarstwa rodzajowego.

Patrząc z retrospektywy na dzieła malarki można ocenić, że są piękne i subtelne, wykonane - akwarelą, gwaszem, pastelą, olejem. Malarstwo sztalugowe i miniaturowe oddają w pełni duszę artystki i jej wszechstronne zainteresowania. Reprezentuje ono realistyczny kierunek w sztuce. Malarka poszukuje takich środków artystycznego wyrazu, które najwierniej oddają piękno natury.



Fot. W. Lipczyński

mane we właściwej perspektywie. Posiada określony horyzont. Artystka za pomocą formy i koloru przybliżyła na swoich płótnach piękno otaczającego świata. W nastrojowych, przesyconych światłem pejzażach, ujawnia zamiłowanie do realistycznego przedstawiania motywu. Oglądając jej malarstwo pejzażowe odczuwa się chęć u autorki nie tylko do utrwalenia niepowtarzalnej urody, ale też do przedłużenia jej trwania.

W 2009 roku odbyła się wystawa indywidualna malarstwa marynistycznego Wirginii Buraczewskiej, zorganizowana w Ustce. Była to wystawa szczególna, reprezentująca nowy, nieznan dotąd wymiar twórczości malarki. Przyjęto ją jako ciekawe spojrzenie artystki na morską przyrodę i ludzi związanych z morzem.

W roku 2010 Wirginia Buraczewska wzięła udział w X Międzynarodowym Ple-

Wierginia Buraczewska jest absolwentką Liceum Plastycznego w Szczecinie, potem skończyła Studium Nauczycielskie, a po przejściu na emeryturę - Wydział Kształcenia Artystycznego Akademii Sztuk Pięknych w Gdańsku. Jest cały czas czynną malarką, podejmuje ciągle nowe wyzwania. Jest aktywnym członkiem słupskiego Klubu Plastyka im. S. Morawskiego i oddziału Stowarzyszenia Marynistów Polskich w Ustce.

Mimo ukończonych studiów artystycznych i uzyskania cenzusu magistra skromnie mówi o sobie, że jest tylko samoukiem związanym z amatorskim środowiskiem artystycznym Słupska i Gdańska. Dla mnie pozostaje wspaniałą malarką, dokumentalistką, amatorką o profesjonalnym artystycznym spojrzeniu na świat.

Włodzimierz Lipczyński, Słupsk
w.lipczynski@interia.eu



W piątek (14 czerwca) poznaliśmy laureatów Białego Bociana 2013 - dorocznych nagród Starosty Słupskiego, przyznawanych za twórczość artystyczną, upowszechnianie i ochronę dóbr kultury

Nagrodzeni twórcy i działacze kultury

Gala rozdania nagród, połączona z Powiatowymi Obchodami Dania Działacza Kultury, odbyła się w Gminnym Centrum Kultury i Promocji w Kobylnicy. Ogłaszaniu laureatów towarzyszyły występy Orkiestry Gminnego Centrum, jej solistek - Anny Jakubowskiej i Katarzyny Wołoszyn oraz zespołu „Ale Babki” pracującego pod dyrekcją Elżbiety Stec. Uczestników Gali przywitani wicestarosta słupski Andrzej Bury i wójt gminy Kobylnica - Leszek Kuliński. Obecni byli laureaci wcześniejszych edycji „Białego Bociana”, a także m.in. Marek Biernacki - wiceprzewodniczący Sejmiku Województwa Pomorskiego i Andrzej Wojtaszek - członek Zarządu Powiatu Słupskiego.

Warto przypomnieć, że nagrody Starosty Słupskiego za twórczość artystyczną i upowszechnianie kultury przyznawane są od 2003 roku i samych Białych Bocianów

rozdano już trzydzieści! Tegorocznymi laureatami „Białego Bociana - najważniejszej nagrody w powiecie słupskim za dokonania kulturalne zostali: Danuta Sroka - dyrektorka Miejskiej Biblioteki Publicznej w Słupsku, Klub Plastyka im. Stefana Morawskiego w Słupsku i zespół wokalnoinstrumentalny „Szczebiotka” z Kępic.

Danuta Sroka jest inicjatorką wielu imprez kulturalnych, autorką wielu artykułów, osobą twórczą i kreatywną. Realizowała duże projekty o istotnym znaczeniu dla kultury. W 2012 roku doprowadziła do ukazania się albumu pt. „Fotografia chłopów pomorskich”. Publikacja ta jest efektem trzyletniej akcji poszukiwania zdjęć. Powstał bogaty zbiór fotografii, który doskonale ilustruje zmiany zachodzące na pomorskiej wsi w ostatnim stuleciu. Album ten jest bezcennym uzupełnieniem bibliografii Pomorza i odzwierciedleniem pomorskiego dziedzic-

stwa kulturowego, stanowi istotny wkład w budowę poczucia przynależności do wspólnoty kulturowej, patriotyzmu lokalnego oraz tożsamości pomorskiej.

Klub Plastyka im. Stefana Morawskiego powstał w 1958 roku w Powiatowym Domu Kultury w Słupsku. W tym roku obchodzi 55-lecie działalności. Zmieniała się sytuacja administracyjna kraju, jednakże twórcy z powiatu, województwa czy miasta, którzy do klubu raz wstąpili, bez względu na te przemiany, nie podlegali wypisaniu. Do dziś są w nim osoby z Ustki, Kępic, Machowina, Wodnicy, Malechowa, Kusowa, Łupin, Siemianicy, Kobylnicy, Kwakowa, Główczyca, Damnicy, Skórzyna, Gardny Małej, Lęborka, Bytowa i Człuchowa. Członkostwem szczytą się też plastycy z Wejherowa, Gdańska, Chmielna, a nawet z dalekiego Archangielska. Założycielem był Stefan Morawski - niezjący już twórca i nieodża-

łowany opiekun twórców - amatorów. Po jego śmierci klub przyjął imię założyciela, dziś skupia ludzi interesujących się sztuką - w różnym wieku, o różnym statusie społecznym i zawodowym. Celem jego działalności jest rozwijanie pasji twórczych, zainteresowań i uzdolnień artystycznych. Klubowi przyznano Białego Bociana 2013 za całokształt działalności.

Zespół wokalny-muzyczny „Szczebiotka” działa przy Miejsko-Gminnym Ośrodku Kultury w Kępicach od września 2008 roku. Wcześniej istniał pod nazwą „Kanon”. Repertuar ma bardzo wszechstronny - od utworów muzyki ludowej, biesiadnej, rozrywkowo-dancingowej, rockowej, po muzykę kościelną, kolędy i pastorałki. Tworzy go sześć pań i dwóch panów. Za swoje występy nie pobiera żadnych opłat, udowadnia, że muzyka biesiadna wcale nie musi być nudna, „obciachowa”, przeciwnie - można się przy niej świetnie bawić. Na swym koncercie ma już dwie płyty - jedną z popularnymi, polskimi kolędami, drugą - ze szlagierami muzyki biesiadnej i ludowej. „Szczebiotka” otrzymała „Białego Bociana 2013” za popularyzację muzyki ludowej i biesiadnej oraz kultywowanie tradycji regionu.

Przyznano również sześć innych równorzędnych nagród, które otrzymali: Jolanta Otwinowska - chórmiistrz, nauczyciel muzyki i śpiewu ze Słupska, poetki - Anna Karwowska z Dobieszewka i Aldona Magdalena Peplińska z Motarzyna, Aleksandra Rolirad z Krzysni, Witold Orzech z Kobylnicy, oraz Paweł Kamiński ze Słupska. Jolanta Otwinowska otrzymała nagrodę za osiągnięcia artystyczne w 40-letniej działalności muzycznej i pedagogicznej oraz za pracę z zespołem muzycznym „Świtezianki” z Głobina. Z muzyką związana jest od siódmego roku życia. Swoją edukację artystyczną rozpoczęła w Państwowej Podstawowej Szkole Muzycznej w klasie fortepianu. Kolejnym etapem była nauka na Wydziale Prowadzenia Zespołów Wokalnych i Wokalno-Instrumentalnych w Państwowym Liceum Muzycznym w Bydgoszczy. W roku 1970 rozpoczęła studia w Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej im. Ignacego Paderewskiego w Poznaniu - na Wydziale Wychowania Muzycznego o specjalności chórmiistrz. Edukację tę ukończyła w 1974 roku. Już podczas studiów podjęła pracę jako nauczyciel muzy-



Fot. J. Maziejuk

ki w Szkole Podstawowej w Mosinie k/Poznania. W roku 1974 zatrudniła się w Szkole Muzycznej I i II stopnia w Słupsku. Od 1976 do 1980 roku była redaktorem muzycznym w Polskim Radiu w Bydgoszczy. Po powrocie do Słupska, w 1980 roku dostała angaż starszego wykładowcy w Instytucie Muzyki Wyższej Szkoły Pedagogicznej, gdzie pracowała do 2008 roku. Od 2005 jest m.in. dyrygentem Chóru ZNP „Academia Musica”, który reaktywowała po 23 latach od zaprzestania działalności. W tym też roku zaproponowano jej objęcie stanowiska dyrygenta Młodzieżowego Chóru „Kantele” przy I LO w Słupsku. Chór ten czterokrotnie zdobywał Srebrny Kamerton na Konkursie Chórów a cappella Dzieci i Młodzieży w Bydgoszczy, nagrał też płytę z 18 utworami ze swojego repertuaru. Od 2006 roku była również dyrygentem Słupskiego Uniwersytetu Trzeciego Wieku. Ostatnio pracuje z zespołem „Świtezianki”, działającym przy Gminnym Ośrodku Kultury w Głobinie. Zespół ten poczynił już znaczące postępy pod jej dyrygenturą, zmienił prawie zupełnie repertuar i sposób śpiewania, a pod koniec 2012 roku nagrał swoją pierwszą płytę.

Anna Karwowska z Dobieszewka otrzymała nagrodę za poezję poświęconą popegeerowskiej, pomorskiej rzeczywistości i ludziom pegeerów. Z rodzicami w 1947 roku przyjechała na Ziemię Odzyskane. Najpierw mieszkała w Kotłowie, potem w Biesowicach, a od stycznia 1958 roku mieszka w Dobieszewku. Swoją zawodo-

wą karierę poświęciła pracy w pegeerach, w których pracowała 34 lata - głównie w produkcji zwierzęcej i roślinnej. Kilka lat temu odkryła w sobie talent poetki. Stało się to, kiedy zlikwidowano pegeery i przeszła na emeryturę, a dzieci wyjechały

za granicę. Przelewa na papier, to co serce jej dyktuje, pisze słowem prostym i zrozumiałym dla każdego. Za stypendium Starosty Słupskiego wydała tomik „Kocie łby”, w którym zawarła swoje bardzo wymowne w treści wiersze. Obecnie przygotowuje drugi tomik, także poświęcony pomorskiej, popegeerowskiej rzeczywistości.

Poetkę i artystkę z Motarzyna Aldonę M. Peplińską nagrodzono za tomik wierszy dla dzieci pt. „I uszatkę bałwan zgubił” oraz sukcesy artystyczne odniesione z zespołami kabaretowymi. W swojej wsi założyła Dziecięcą Grupę Teatralną „Uśmiechnij się” i Kabaret „Babeczki”. Rok 2012 był dla niej szczególnie udany, bo z „Babeczkami” zdobyła III miejsce na V Powiatowym Przeglądzie Kabaretów Wszelakich „Obciach” w Kobylnicy i wyróżnienie za grę aktorską. W tym też roku otrzymała stypendium Starosty Słupskiego i wydała czwarty swój tomik - drugi z wierszami dla dzieci pt. „I uszatkę bałwan dostał”. W tym roku, na VI Powiatowym Przeglądzie Kabaretów „Obciach” w Kobylnicy zdobyła kolejne wyróżnienie za grę aktorską, a prowadzony przez nią kabaret „Babeczki” - II miejsce. Jej mali podopieczni z grupy „Uśmiechnij się” zdobyli I miejsce na tym przeglądzie i też indywidualne wyróżnienie dla jednej z swoich uczestniczek. Jest dwukrotną laureatką nagród wójta gminy Dębница Kaszubska za krzewienie kultury (nagrody odebrała w 2007 i 2009 roku). Jest laureatką nagród Starosty Słupskiego za osiągnięcia w dziedzinie twórczości artystycznej w 2007, 2008, 2009 i 2010 roku. To także laureatka „Białego Bociana” w 2011 roku, trzykrotna stypendystka Starosty Słupskiego - w 2009, 2010 i 2012 roku. Znana jest z wierszy, występów kabaretowych, a także m.in. anioł-



Fot. J. Maziejuk

szczy dla dzieci pt. „I uszatkę bałwan zgubił” oraz sukcesy artystyczne odniesione z zespołami kabaretowymi. W swojej wsi założyła Dziecięcą Grupę Teatralną „Uśmiechnij się” i Kabaret „Babeczki”. Rok 2012 był dla niej szczególnie udany, bo z „Babeczkami” zdobyła III miejsce na V Powiatowym Przeglądzie Kabaretów Wszelakich „Obciach” w Kobylnicy i wyróżnienie za grę aktorską. W tym też roku otrzymała stypendium Starosty Słupskiego i wydała czwarty swój tomik - drugi z wierszami dla dzieci pt. „I uszatkę bałwan dostał”. W tym roku, na VI Powiatowym Przeglądzie Kabaretów „Obciach” w Kobylnicy zdobyła kolejne wyróżnienie za grę aktorską, a prowadzony przez nią kabaret „Babeczki” - II miejsce. Jej mali podopieczni z grupy „Uśmiechnij się” zdobyli I miejsce na tym przeglądzie i też indywidualne wyróżnienie dla jednej z swoich uczestniczek. Jest dwukrotną laureatką nagród wójta gminy Dębница Kaszubska za krzewienie kultury (nagrody odebrała w 2007 i 2009 roku). Jest laureatką nagród Starosty Słupskiego za osiągnięcia w dziedzinie twórczości artystycznej w 2007, 2008, 2009 i 2010 roku. To także laureatka „Białego Bociana” w 2011 roku, trzykrotna stypendystka Starosty Słupskiego - w 2009, 2010 i 2012 roku. Znana jest z wierszy, występów kabaretowych, a także m.in. anioł-

ków wykonanych z masy solnej i innych prac rękodzielniczych. Przede wszystkim jest poetką!

Aleksandra Rolirad otrzymała nagrodę za artystyczną pasję i wyroby rękodzielnicze. Od sześciu lat mieszka w Krzynie, w małym domku, gdzie w ciszy i spokoju zajmuje się rękodziełem. Bursztyn, len, filc, dary lasu, pól i łąk to jej ulubione materiały, a wykonane przez nią dekoracje to w szczególności wianki z podkładów słomianych i żywych gałązek jodły kaukaskiej. Dzięki temu są bardzo wytrzymałe i mogą służyć nawet trzy sezony! Sama suszy cytrusy, a w okolicznych lasach zbiera szyszki, mech i gałęzie, które wykorzystuje do swoich prac. Sama wykonuje też bombki choinkowe i



Fot. J. Maziejuk

inne ozdoby. Projektuje i tworzy biżuterię z bursztynu. Każdy jej wyrób ma niepowtarzalny kształt i wygląd. Współpracuje z wieloma galeriami w Polsce i za granicą, m.in. we Włoszech i Niemczech. Uczestniczy w jarmarkach rękodzieła organizowanych przez muzea etnograficzne w Słupsku, Koszalinie, Wdzydżach Kiszewskich i Usedom na wyspie Uznam. Prezentowała swoją twórczość na Festiwalu Sztuki i Przedmiotów Artystycznych w Poznaniu.

Za twórczą pasję i artystyczne cacka wykonane z zapalek otrzymał nagrodę Witold Orzech z Kobylnicy. Ma 49 lat i polubił zapalki, te zwykłe, kiedyś z Sianowa, dziś z innych wytwórni - do podpalania, ale te, które on wykorzystuje są już bez siarki. Wykorzystuje je na różne sposoby, żeby nie powiedzieć, że bawi się nimi od dwudziestu pięciu lat! Wykonuje szkatułki, koszyczki i inne cacka. Najchętniej jednak sięga do postaci z ulubionych bajek Christiana Andersena i Harego Pottera - tworzy swój zaczarowany, baśniowy świat. Co zasługuje na podkreślenie - buduje go jako osoba niewidoma. Z zapalek wykonał wystrój całego przedpokoju w swoim mieszkaniu. Robił go przez dwa lata! Teraz swój czas poświęca „Calineczce” z baśni Andersena. Wójt gminy Kobylnica - Leszek Kuliński przyznał mu dodatkową nagrodę i osobiście wręczył.

Pawła Kamińskiego ze Słupska nagrodzono za popularyzowanie wśród dzieci i młodzieży tańca breakdance i rozbudzenie zainteresowań kulturą. Jest tanecznym wicemistrzem Europy oraz założycielem największej szkoły breakdance na Pomorzu, która zyskała też miano najlepszej takiej grupy w województwie pomorskim. W 2007 roku nawiązał współpracę z placówkami kulturalnymi gmin powiatu słupskiego i zachęcił dzieci i młodzież z Kusowa, Włynkówka, Krępy, Bierkowa, Główczy, Poblócia, Cecenowa i Damnicy do założenia grup tanecznych. Jego wychowankowie zdobywają nagrody w dobrze obsadzanych turniejach tanecznych. Na Ogólnopolskich Zawodach Breakdance w Kutnie,

na które przyjechało ponad 200 tancerzy z całej Polski, zwyciężył Błażej Jeremek z gminy Słupsk i zyskał miano nadziei polskiej sceny breakdance. W kwietniu 2012 roku zorganizował w Głobinie pierwszą edycję Ogólnopolskich Zawodów Breakdance. W czerwcu zorganizował I edycję Ogólnopolskich Zawodów Breakdance w Główczych, w których wzięło udział 120 młodych tancerzy. Na początku października pojechał z czwórką swoich podopiecznych - Julią Kalatą z Kusowa, Aleksandrą Malińską z Włynkówka, Dawidem Grzeszkowiakiem i Piotrem Mańkowskim z Główczy na Międzynarodowe Zawody Breakdance do Rostocku. Wszyscy odnieśli tam sukcesy.

Wywoływani kolejno na scenę i prezentowani laureaci nie kryli radości z przyznanych nagród. Zespół „Szczebiotka” zaprezentował się publiczności w składance swoich utworów biesiadnych, poetki - A. Karwowska i Aldona M. Peplińska przypomniały swoje wiersze. Elżbieta Żołyniak ze Słupskiego Ośrodka Kultury, która odbierała nagrodę dla Klubu Plastyka im. Stefana Morawskiego przyznała, że w 55-letnim dorobku Klubu, zrzeszającego wielu twórców, to dopiero pierwsza nagroda, jaka otrzymał. A Klub rzeczywiście dużo zrobił dla amatorskiego ruchu artystycznego. Jest organizatorem wielu plenerów i konkursów plastycznych o randze krajowej i międzynarodowej, zrzesza nawet twórców z zagranicy.

Wszyscy laureaci zasłużyli na nagrody. Po zakończonej Gali zostali zaproszeni jeszcze na specjalny poczęstunek przygotowany z okazji Obchodów Dnia Działacza Kultury. (Z)

Grany od dwóch miesięcy przez słupski Teatr Nowy spektakl „Sound of Music”, cieszy się wciąż wielkim powodzeniem. Jest to polska prapremiera, bo teatr w Słupsku jako pierwszy otrzymał licencję słynnej londyńskiej Agencji Josefa Weinbergera na wystawienie tej sztuki. Dyrektor teatru i zarazem reżyser spektaklu Zbigniew Kułagowski mówi, że: „Dźwięki muzyki to sztuka, która ma wszystko co niezbędne do zbudowania wzorcowego spektaklu tego gatunku.”

Szczególne upodobania sceny słupskiej do wystawiania światowych musicali są m.in. wynikiem wokalnych kwalifikacji i pasji samego dyrektora. Spektakl powstał we współpracy z Polską Filharmonią „Sinfonia Baltica” i obok zespołu aktorskiego można podziwiać w nim dwie grupy dzieci, wyłonionych spośród stu dwudziestu kandydatów oraz 14-osobowy żeński zespół wokalny wywodzący się z pedagogów i studentów Akademii Pomorskiej w Słupsku.

„Sound of Music” to sentymalna historia z sympatycznymi głównymi bohaterami, z dodaniem czarnych charakterów i uroczym klimatem rodzinnego ciepła. Niezapomniane piosenki i teksty Oskara Hammersteina II i Richarda Rodgersa zapadają głęboko w pamięci widzów. Bilety na to przedstawienie można dostać dopiero na listopadowe spektakle.

Chociaż minął już rok od premiery innej sztuki granej w słupskim Teatrze Nowym - „Garderobiany” Ronald Harwooda w reżyserii Krzysztofa Galosa, to też cieszy się ona jeszcze sporym zainteresowaniem. Pokazuje teatr od kulis - od tzw. „kuchni”. Można w skrócie powiedzieć, że - teatr o teatrze. Wśród aktorów szczególnie wyróżnia się doskonały duet - Ireneusz Kaskiewicz - w roli dyrektora trupy teatralnej i Krzysztof Kluzik - jako garderobiany Norman. Pozostałe postaci barwnej szekspirowskiej trupy teatralnej grają: Bożena Borek, Paulina Fonferek, Hanna Piotrowska, Marta Turkowska, Igor Chmielnik, Adam Jędroś i Jerzy Karnicki. Widzom w pamięci jednak głęboko zapada majstersztyk gry Ireneusza Kaskiewicza i Krzysztofa Kluzika. Warto przybliżyć te dwie czołowe postaci sceny słupskiej. Ireneusz Kaskiewicz ukończył Wydział Aktorski w Państwowej Wyższej Szkole Filmowej i Telewizyjnej w Łodzi w 1967 roku. Jest związany z teatrami łódzkimi, gdzie występował prawie na wszystkich scenach. Występował również w teatrach Krakowa, Szczecina i Koszalina. Jest też znany jako odtwórca wielu ról filmowych, a szczególnie zasłynął rolą w serialu „Pan na Żuławach”. Od 2004 roku jest aktorem Teatru Nowego w Słupsku. Tutaj kreował czołowe role, m.in. w „Szalonej lokomotywie”, „Skrzypku na dachu”, „Oknie na parlament”, „Scenach miłosnych dla dorosłych”, „Dziadach”, „Zemście”, „Obronie Sokratesa”. Należy do zasłużonych aktorów



Sztuka „Garderobiany” w wykonaniu aktorów słupskiego Teatru Nowego cieszy się, mimo że od jej premiery minął już rok, sporym zainteresowaniem widzów, a na przedstawienie „Sound of Music” bilety można zdobyć dopiero na listopadowe spektakle

Artysta jest dla widza

sceny słupskiej. Dzięki jego kreacjom teatr słupski zyskuje coraz większą liczbę widzów i wielbicieli.

Krzysztof Kluzik jest absolwentem Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej w Krakowie. Ukończył ją w 1986 roku. Występował w Grupie Tanecznej „Wir”, w Teatrze „Rondo” w Słupsku i Państwowym Teatrze im. Wandy Siemaszkowej w Rzeszowie. Od 2004 roku gra w teatrze słupskim, kreował role m.in. w „Szalonej lokomotywie” Witkiewicza, „Ślubach” i „Ferdynand” Gombrowicza, „Szalonych nożyczkach”. Emocjonalnie związany ze Słupkiem jest uosobieniem określonego ideału aktorskiego, swoją wspaniałą grą podtrzymuje mit dobrego artysty, żyjącego dla widza.

Tyle ciekawego na słupskiej scenie teatralnej. Ale godne odnotowania są również trzy inne wydarzenia kulturalne. Corocznie oczekiwana impreza „Noc Otwartych Muzeów” odbyła się 18 maja i prze-



Fot. Archiwum Autora

szła wszelkie oczekiwania pod względem zainteresowania i frekwencji. Dyrektor Muzeum Pomorza Środkowego - Mieczysław

Jaroszewicz był zaskoczony liczbą osób zwiedzających ekspozycje, którzy do późnych godzin poznawali muzeum i brali udział w imprezach towarzyszących. Jest to potwierdzeniem zasług placówki w gromadzeniu zbiorów, ich popularyzacji i udostępnianiu zwiedzającym.

24 maja w Kościele Mariackim odbył się niecodzienny koncert Polskiej Filharmonii „Sinfonia Baltica”. Pierwsza część to wielkie przedsięwzięcie - „Magnificat” Johna Ruttera przy udziale połączonych chórów Politechniki Gdańskiej, Uniwersytetu Toruńskiego i Akademii Pomorskiej w Słupsku. Orkiestrą dyrygował Mariusz Mróz, w partiach solowych występowała Anna Fabrello - sopran, a chóry przygotowała Beata Wróblewska. „Magnificat” to piękne dzieło - jego nazwa pochodzi od pierwszego słowa tłumaczenia łacińskiego zapisanego przez św. Łukasza. Jest to radosna pieśń dziękczynna oparta na tekstach ze Starego Testamentu, którą według Ewangelii św. Łukasza wypowiedziała lub zaśpiewała Maryja podczas spotkania ze świętą Elżbietą, krótko po Zwiastowaniu. W wykonaniu słupskich filharmoników i połączonych chórów to wielkie przedsięwzięcie kulturalne, które przejdzie z pewnością do historii. W drugiej części - Preludiów Ferencza Liszta, orkiestrą słupską dyrygował Bohdan Jaromłowicz. I należy dodać, że wspaniała akustyka słupskiej świątyni uzupełniały ten wyjątkowy koncert majowy.

25 maja również w Kościele Mariackim wystąpili aktorzy Teatru A - Impresaryjnego z Gliwic z przedstawieniem „Tobiasz”. Teatr ten zajmuje się fabularyzacją tekstów biblijnych, działa pod kierunkiem swego dyrektora i reżyserią Mariusza Kozubka. Był to religijny musical, który został też entuzjastycznie przyjęty przez słupską publiczność. Słupski kościół jest przykładem na to, jak nie tylko można przybliżyć człowieka

do Boga, ale również do kultury - poprzez wzruszającą muzykę i sztukę teatralną.

Włodzimierz Lipczyński, Słupsk

Wrocław odzyskał sensacyjny obraz Cranacha

Wrocław zawsze wzbudzał zainteresowanie niepowtarzalną historią, kulturą i niezwykłymi mieszkańcami. To tutaj w tyglu historii nakładały się wydarzenia, fakty i odradzał się każdorazowo duch wielkich przemian

Mój nagły wyjazd do Wrocławia był podyktowany odzyskaniem po siedemdziesięciu latach nieobecności i poszukiwaniach jednego z najcenniejszych obrazów renesansowego malarza Lucasa Cranacha - „Madonna pod jodłami”. Lucas Cranach Starszy żyjący w latach 1472 - 1553 to niemiecki malarz i grafik epoki renesansu. Artysta jest autorem ponad czterystu dzieł, głównie o tematyce religijnej. Zyskał sławę jako autor takich obrazów sakralnych, jak „Św. Hieronim”, „Ukrzyżowanie” czy „Odpoczynek w czasie ucieczki do Egiptu”. Po spotkaniu z Marcinem Lutrem przeszedł na luteranizm i wykonał wiele portretów niemieckiego reformatora.

Historia powstania dzieła „Madonna pod jodłami” datowana jest na 1510 rok, kiedy słynny malarz na zamówienie biskupa wrocławskiego Jana V Turzona namalował obraz dla wrocławskiej katedry na Ostrowie Tumskim, krótko przed przejściem na protestantyzm. Obraz namalowany na desce lipowej przedstawia Marię z małym Jezusem na kolanach. Jezus trzyma w ręku winne grono, tło stanowi górzysty krajobraz z

go prace naprawcze wykonywał jego pracownik, ks. Siegfried Zimmer.

W tym momencie historia obrazu nabiera sensacyjności i nieprawdopodobnych wydarzeń. Ksiądz Zimmer zamawia wykonanie kopii obrazu u swojego dawnego parafianina, Georga Kupke. Kopia powstaje w latach 1946 - 1947. Następnie falsyfikat zostaje podmieniony w katedrze, a oryginalny obraz Cranacha ks. Zimmer, zmuszony do wyjazdu z Wrocławia, zabiera ze sobą do Bernau pod Berlinem, do sowieckiej strefy okupacyjnej w Niemczech, gdzie zamieszkał. W roku 1954 wyjeżdża do Monachium i też zabiera ze sobą obraz, a w latach sześćdziesiątych sprzedaje go antykwariuszowi Franzowi Waldnerowi.

Pozostawiona we Wrocławiu kopia obrazu uważana była za oryginał, a katedra szczyliła się jego posiadaniem. W 1961 roku polska konserwator Daniela Stankiewicz, po dokładniejszej analizie falsyfikatu podważyła oryginalność. Tymczasem oryginał obrazu był później jeszcze kilkakrotnie oferowany na międzynarodowych licytacjach antykwarycznych. Jego autentyczność potwierdził szwajcarski ekspert dr

pochyloną brzozą i jodłami. Obraz w całości przedstawia wizerunek subtelnej matki z dzieckiem. Znajdował się od początku XVI do XIX wieku w kaplicy katedralnej św. Jana Ewangelisty. W latach dwudziestych i trzydziestych XX wieku, ze względu na jego wyjątkową wartość, trafił do skarbcza katedralnego. W 1943 roku, w obawie przed alianckimi nalotami, był przechowywany poza Wrocławiem.

Przed końcowymi działaniami wojennymi Niemcy obraz właściwie zabezpieczyli, a po 1945 roku powrócił on do katedry, jednak wymagał dużych zabiegów konserwacyjnych, ponieważ był złamany na dwie części. Na zlecenie Muzeum Archidiecezjalne

Koeplin i przekazał tę informację do ambasady PRL, która jednak nie nadała sprawie biegu. Dalsze losy oryginału obrazu to ciągle próby sprzedania dzieła, jednak z powodu ustalonego pochodzenia, obraz nie znalazł nabywcy.

Dopiero na początku XXI wieku prywatny kolekcjoner przekazał obraz Cranacha szwajcarskiemu Kościołowi. Początkowo Szwajcarzy planowali sprzedać go i przekazać dochód na cele dobroczynne, ale ostatecznie zdecydowali o zwrocie dzieła prawowitemu właścicielowi. W marcu ub. roku nawiązano kontakt z Muzeum Archidiecezjalnym we Wrocławiu i za pośrednictwem polskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych rozpoczęto intensywne rozmowy w celu przekazania dzieła.

18 lipca w ambasadzie polskiej w Bernie obraz przekazano pracownikom MSZ, a 27 lipca minister spraw zagranicznych Radosław Sikorski ogłosił publicznie powrót obrazu do Polski i przekazanie go archidiecezji wrocławskiej. Obraz Cranacha należał do najcenniejszych dóbr kultury zaginionych w czasie II wojny światowej. Fakt odzyskania dzieła, ocenianego na wiele milionów euro, wywołał sensację ogólnopolską nie tylko wśród historyków sztuki. Obecnie jest udostępniany zwiedzającym przez Muzeum Archidiecezjalne działające przy Katedrze św. Jana. Gromadzi ono ekspozycje kultury dolnośląskiej i posiada m.in. rzadki zbiór zabytków starożytnych oraz gotyckich, głównie z czasów piastowskich Śląska. Odzyskanie tak unikalnego dzieła ma istotne znaczenie dla kultury polskiej.

Przy okazji powrotu obrazu Cranacha na właściwe miejsce warto przybliżyć dzisiejszy Wrocław, bo zaskakuje radykalnymi zmianami. Miasto to, o bogatej historii, zostało totalnie zniszczone w okresie II wojny światowej. W rozkazach hitlerowskich zostało uznane za twierdzę i broniło się do końca. W nocy z 1 na 2 kwietnia 1945 roku siedemset pięćdziesiąt samolotów sowieckich rozpoczęło masowe bombardowania. W wyniku walk 70 procent substancji miejskiej zrównano z ziemią. Dziś, kiedy zwiedzamy Wrocław możemy stwierdzić, że to miasto zmienia się na naszych oczach. Szczególnie zmiany widoczne są po Euro 2012. Dokonano pełnej rewitalizacji śródmieścia, zabytkowego dworca kolejowego, wybudowano stadion.



Wrocław to miasto zabytkowych budowli. W panoramie wyróżnia się starówka, widoczne są wieże starych zabytkowych kościołów oraz współczesne elementy architektoniczne, pomniki i wiele ciekawych obiektów. W zabudowie starówki dominuje okazała bryła wrocławskiego ratusza z rynkiem. Ratusz ten to jeden z najpiękniejszych zabytków gotyckiej kultury mieszczańskiej w Polsce. Usytuowany został na jednym z największych rynków staromiejskich Europy, w otoczeniu zabytkowych kamieniczek kupieckich. Miasto posiada po-

blioteki Ossolineum. W głównym gmachu można zobaczyć najpiękniejszą reprezentacyjną, barokową salę - Aulę Leopoldinum. Nazwę tę nadano ku czci fundatora uniwersytetu, cesarza rzymskiego Leopolda I. Wnętrza zdobią rzeźby figuralne i malowidła, tworząc najpiękniejszą kompozycję barokową.

Hala Stulecia (dawna Hala Ludowa) wzniesiona w latach 1911 - 1913, według projektu Maxa Berga, została wpisana na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO. Panorama Raclawicka - dzieło polskich malarzy Jana Styki i Wojciecha Koszaka, po wojennej tułaczce też trafiło do Wrocławia. Dla potrzeb tego płótna zbudowano specjalną rotundę, która stanowi jedną z wielu atrakcji miasta. Wrocław to wreszcie prężny ośrodek kultury. Znajduje się tutaj słynna pantomima nazwana imieniem Henryka Tomaszewskiego, która przeszła już do historii współczesnego teatru polskiego. Teatr ten jest nośnikiem wielkiej tradycji i stanowił kolebkę polskiej sceny mimicznej

Dużą atrakcją turystyczną stanowią wrocławskie mosty i kładki na Odrze, na jej dopływach i kanałach. Wrocław posiada czwartą pod względem wielkości liczbę przejść nad wodą w Europie. Plasuje się tuż za Wenecją, Amsterdamem i Petersburgiem. Jako jedno z nielicznych miast w Europie ma zachowaną i stale wypełnioną wodą fosę miejską, dlatego nazywany bywa również Wenecją

Północy. Pochodząca z XIII wieku Piwnica Świdnicka słynie z wyszynku piwa. Osobliwą atrakcją Wrocławia są jego figurki krasnali rozmieszczane sukcesywnie od roku 2001 w różnych częściach miasta. Organizowane są specjalne wycieczki szlakiem krasnali i wydawane broszurki dla turystów w odnawianiu kolejnych figurek. W 2001 roku na ulicy Świdnickiej, w miejscu zwyczajowych happeningów Pomarańczowej Alternatywy, został ufundowany pierwszy krasnal. Co roku przybywa figurek i obecnie jest ich ponad dwieście. Każdy symbolizuje inną osobliwość i sytuację. Na przykład krasnal strażnik - Hala-

bardnik usytuowany jest nad wejściem do posterunku straży miejskiej a krasnal Kibic przy głównym wejściu do klubu WKS Śląsk Wrocław.

Współczesny Wrocław wzbudza nieustającą ciekawość, wita i żegna turystę odrestaurowanym dworcem głównym, zaliczonym do najpiękniejszych w Polsce. Zbudowany w połowie XIX wieku w stylu angielskiego neogotyku z zewnątrz przypomina zamek z basztami i posiada największą halę peronową. Na peronie trzecim na początku 1997 roku wmurowano tablicę upamiętniającą tragiczną śmierć sprzed trzydziestu lat Zbigniewa Cybulskiego pod kołami pociągu. Miasto ma do zaoferowania bardzo wiele. W wyniku niepodważalnych osiągnięć Wrocław został wybrany przez forum europejskie na Europejską Stolicę Kultury 2016 - odbędzie się tu wtedy wiele imprez o charakterze międzynarodowym.

Włodzimierz Lipczyński
Słupsk



Fot. W. Lipczyński

nad osiem tysięcy zabytkowych kamienic reprezentujących style historyczne pochodzące z XIX i początków XX wieku. Jest to największe skupisko zabytkowego budownictwa w Polsce oraz jedno z największych w Europie. Wiele kamienic reprezentuje wysokie walory architektoniczno-estetyczne, style począwszy od baroku poprzez klasycyzm, historyzm, secesję aż po modernizm. Zachowały się całe ciągi ulic architektury historyzującej, na przykład ulica Miernicza oraz plac ks. S. Staszica na osiedlu Nadodrze.

Dzisiejszy Uniwersytet Wrocławski to prężny ośrodek naukowy, który swoimi korzeniami sięga do Uniwersytetu Lwowskiego im. Jana Kazimierza. Z Lwowa przeniesiono również największe zbiory bi-



Fot. W. Lipczyński

wyjatkowy ognomistrz dożył już dziewięćdziesiątki!

Bernard Głodowski z Chośnicy koło Parchowa (poświęciłem mu jeden z rozdziałów książki „Żywa legenda regionu nad Słupią”) spędził bowiem w społecznej służbie pożarniczej aż osiemdziesiąt lat, i to z przysłowiowym drobnym okładem. Fabianowi Kirce dorównać by wszakże trudno. Bardzo trudno.

O kim mowa? Związła do maksimum notka biograficzna. Znalazł w tej wsi drugi dom - jak sąsiad z Bęcina Jan Kłos - wiosną 1946, gdy z rodzicami oraz młodszym bratem i siostrą zmuszony był przez PUR przenieść się z Wileńszczyzny na Ziemię Odzyskane (Zachodnie); „dla porządku” - do wskazanej decyzją władz podślupskiej Damnicy. Miał wtedy dwadzieścia dwa lata i niezgorszy półzawodowy staż ślusarski w parowozowni na Litwie. Przydały się więc jego „złote rączki” miejscowym kowalom, ba! również Tartakowi Władysława Oberta. Z czasem coraz szybciej awansował. Damnickie Kółko Rolnicze zrobiło go na przykład głównym dyspozytorem. Pełnił tę funkcję - nie fatum? - jedynie piętnaście lat. Bo ciężki, tragiczny w skutkach wypadek przy pracy, połączony z uszkodzeniem kręgosłupa, „wpisał” w CV p. Fabiana dożywotnią rentę inwalidzką.

I co - złożył broń, oddał walkowerem dalsze aktywne życie? On?! Był w końcu od stycznia '54 członkiem, ale i pierwszym dyplomowanym naczelnikiem tutejszej Ochotniczej Straży Pożarnej. Związek OSP skupiał wówczas raptem ośmiu (łącznie z Kirką) ludzi. - Ale jakich! - słyszę. - Szkoda, że ślad prawie całkiem już po nich zaginął. Ano taka kolej rzeczy...

- Chociaż... - zreflektował się po chwili mój rozmówca. - W roku 2000, gdy funkcję naczelnika OSP pełnił jeszcze dh Jarosław

Niczym druh Głodowski

Powie ktoś może: Zbyt przesadne porównanie. Upierałbym się jednak: Tylko trochę



Fot. Zbiory prywatne.

Ziemski, damnickie bractwo spod znaku św. Floriana liczyło trzy razy więcej fanów. Teraz, kiedy - od około dziesięciu lat - władzę w jednostce sprawuje „młokos” (37) Lech Boryła, jest ich w sumie czterdzieści jeden, w tym pięć kobiet i dziewięciu chłopców z cezurą wiekową

12(!) - 19 lat. Dlaczego tylko dziewięciu „małolatów”? Z prostej przyczyny: Dwudziestu zasililo niedawno szeregi rówieśników dh. Baryły z Jarosławem Ziemskim, Walterem Cymkiem i Kazimierzem Krzywuciem - wciąż aktywnymi weteranami pożarnictwa „w tle”. Chyba dobrze, prawda?

W remizie przy - nomen omen - Strażackiej 2 („za sprawą prezesa Zarządu Gminnego i wójta Grzegorza Jaworskiego odrestaurowanej u progu dekady 2000 - 2010 dla „florianowców”) kończy przed tygodniem swe zwierzchni Fabian Kirko: - Ponieważ dziewięćdziesiątka na karku, bywam tutaj rzadko. Myślę, że jednak coś po sobie dla OSP w 60-leciu zostawiłem. W przeciwnym wypadku - skąd wziąłby się u Kirki Złoty Znak ZOSP oraz medale Za Zasługi w Pożarnictwie, i to wszystkich trzech stopni?

A symbolicznie bodaj odznaczenia państwowe? - pytam.

- Niestety... Trzeba najwidoczniej - to już post scriptum autora niniejszych zapisków - „podciągnąć się” w większym stopniu, jak tytułowy druh Bernard, do setki. Dalibóg, Szanowna Władzo!

Okazuje - zwłaszcza obecnie - są przecież idealne. A każda zwłoka jawi się w takim przypadku sparafrazowanym „Czekaniem na Godota” Eugene Ionesco...

Jerzy. R. Lissowski, Słupsk

Powiat słupski uhonorowany

Starosta słupski Sławomir Ziemianowicz odebrał statuetkę i dyplom za zajęcie przez powiat słupski pierwszego miejsca w Rankingu Powiatów i Gmin w 2012 roku a wicestarosta Andrzej Bury - nagrodę za trzecie miejsce w Rankingu Energii Odnawialnej.

Wyniki rankingów prowadzonych przez Związek Powiatów Polskich ogłoszono na IV Kongresie Regionów, który odbył się w dniach 11-13 czerwca br. w Świdnicy. Włodarze powiatu nie kryli zadowolenia z otrzymanych wyróżnień. Tegoroczny kongres odbywał się pod hasłem: „Samodzielność a efektywność. Samorząd jako wspólnota mieszkaniowa”, starostom słupskim towarzyszyli na nim sekretarz powiatu - Irena Tkaczuk-Kawalerowicz oraz przewodniczący rady powiatu słupskiego - Ryszard Stus.

Jak co roku urozmaicony program zgromadził wielu słuchaczy i umożliwił uczestnikom udział w różnych panelach dyskusyjnych. Tradycyjnie przedstawiciele samorządów mogli spotkać się z przedsiębiorcami, inwestora-

mi, a także reprezentantami świata biznesu. Sesjom plenarnym i dyskusjom towarzyszyły warsztaty, prezentacje i imprezy kulturalne. Tematyka poruszanych spraw dotyczyła m.in. energetyki, finansów, kultury i marketingu, infrastruktury drogowej i kolejowej.

Najwięcej emocji wzbudziła gala wręczenia nagród, w sumie w siedmiu rankingach samorządowych nagrodzono 157 prezydentów, burmistrzów, starostów oraz wójtów.

Kongres - pod patronatem honorowym prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Bronisława Komorowskiego zorganizowali: Związek Powiatów Polskich, Związek Miast Polskich oraz Fundacja Rozwoju Demokracji Lokalnej.

Godzi się przypomnieć, że powiat słupski zdobył także w innym rankingu Związku Powiatów Polskich - tytuł „Super Powiat” i „Dobry Polski Samorząd 2012” w kategorii powiatów do 120 tys. mieszkańców. Statuetkę i dyplom za te wyróżnienia starosta S. Ziemianowicz odebrał w kwietniu w Wiśle na XVI Zgromadzeniu Ogólnym Związku Powiatów Polskich. **(D.W.)**



najwyższej w rankingu
Fot. ZPP

U silnie próbuję zrozumieć rzeczywistość (pewnie nie ja jeden) co nie jest łatwe, bo jakiegokolwiek próby systemotwórstwa są fałszowaniem tego co jest i utrudniają zrozumienie. A jednak wystarczy tylko znaleźć klucz przez nowoczesność do ponowoczesności porządkując wolnomyślicielstwo i okiełznać swobodę chlastania argumentami bez przemyślenia, wyzwolić się z zarozumiałstwa, zniewolenia i przepranego mózgu, oczyścić zmysły obudzić instynkt?

Pewnym jest, że w sprawie zbędnym jest demonizowanie problemu niejasności i zaćmienia, wszak wszyscy jesteśmy konsumentami, „rewolucjonistami”, twórcami, odbiorcami i krytykami. Spełniło się marzenie niemieckiego awangardowego artysty Josepha Beuysa, który długo przed powstaniem globalnej wioski, sieci, etc. rzucił hasło „...Każdy jest artystą...”. Beuys wierzył, że w każdym człowieku tkwią jakieś szczególne zdolności, które można rozwinąć i powiększyć za pomocą edukacji i informacji. No właśnie, dzisiaj możliwości tego rodzaju są praktycznie nieograniczone.

Inny gigant sztuki Andy Warhol (malarz, grafik, reżyser) postać kontrowersyjna i skandalizująca, samokreator własnej legendy, podważający wyjątkowość statusu sztuki i artyście, orzekał, że „...artysta to ktoś taki, kto wytwarza rzeczy, jakich ludzie nie potrzebują...”. Mówił też, że „...bycie dobrym w interesach jest najbardziej fascynującą odmianą sztuki. Robienie pieniędzy jest sztuką, praca jest sztuką, a dobry interes jest najlepszą ze sztuk...”

Niech mu będzie, znajomy powiedziałby - panie, to nie Ameryka, ja dodam, że z tym jest pewien kłopot. Trzeba znaleźć pracę, określić, że to dobry interes i pewnie wątpić, że traktowany jako sztuka spienięży coś co niesprzedawalne. Pracując nie trudno wykonać, gorzej jest wytwór sprzedać. Zwłaszcza ten, który się sztuką zwie, a przecież w gąszczu produktów kulturowych obok rzadkich roślin plenią się chwasty i produkty masowe.

Na współczesny kształt społeczeństwa nakłada się wiele procesów i zależności a nasza polska kultura masowa stała się jedną wielką podróbką za sprawą nas samych - byle sprzedać. Pojawiło się najgorsze naśladownictwo Zachodu, ściągnięto z całego świata kopie najbardziej tandetnej rozrywki, zachowań, mód. O naszym statusie społecznym oraz sukcesie nie decyduje już wykształcenie, zawód, umiejętności czy osobowość. By zdobyć prestiż, uznanie i podziw w oczach innych, zapominamy o swoich wartościach i zasadach na rzecz poklasku zdobytemu dzięki pieniądзом. Zręcznie wpisujemy się w oczekiwania dużej części społeczeństwa, gdzie liczy się nie to jaki jesteś, ale to co masz. Bacznie śledzimy trendy, co wypada mieć i jak trzeba żyć aby zaspokoić oczekiwania społeczne, zapominając o wartościach uczymy się snobizmu, egoizmu i posiadania rzeczy, drugi człowiek i jego potrzeby stają się obojętne. Przy takim obrazie

Smutnym jest to, że co czwarty absolwent z ukształtowaną formalnie duszą artysty ma kłopoty ze znalezieniem pracy, a ci którym się to uda, raczej nie będą pracować w zawodzie, to artyści bez etatu

Warto być pięknym motylem



Fot. J. Maziejuk

nie jest krzywdzącą tezą, że uosobieniem „cnót” i zbiorowej świadomości społecznej jest sytuacja, w której amatorzy odgrywają rolę amatorów dla amatorów - jesteśmy niewybrednymi konsumentkami plagiatorami.

Być może w tym informacyjnym chaosie o rewolucyjności, nowoczesności, ponowoczesności, konsumpcjonizmie, polityczności (o poprawności politycznej nie ma tu słowa, a taką jest niewątpliwie reakcja na towar, modę, marketing i politykę inflacyjną) generalnie trudno się połapać, w tekście pewnie też.

Dużego smaku doda tu parę zdań wynikających z lektury powieści utopijnej Karela Čapka pt. „Inwazja jaszczurów”, choć wg autora rzecz to o rzeczywistości, nie fantazji, odzwierciedla to, co jest i wśród czego żyjemy. Powieść niedoszłego noblisty powstała bagatela, w 1936 roku, a jednym z problemów nurtujących autora, to społeczne skutki rewolucji technicznej, to zresztą schemat

fabularny kilkakrotnie powielany w innych powieściach i dramatach. Čapek napisał o Jaszczurach, ale myślał o ludziach nie wykluczając ewentualności, że w sprzyjających warunkach inny rodzaj życia, inny gatunek istot żyjących aniżeli człowiek, mógł się stać motorem rozwoju kulturalnego. Nie jest wykluczone, że wg autora, w pewnych warunkach pszczoły czy mrówki mogły osiągnąć taki wysoki poziom inteligencji, że ich zdolność stworzenia cywilizacji nie byłaby mniejsza niż nasza. W „Inwazji...” przygłupawe, chrząkające płazy, tytułowe jaszczury cywilizowane i cywilizujące się, opanowały świat podkopując, wysadzając i topiąc lądy, zagospodarowując dla swych potrzeb morza i oceany.

W kontekście życia politycznego lat trzydziestych zamierzeniem było pobudzenie szerokiego rezonansu społecznego, wskazanie na gwałtowne narastające zagrożenie. Los jaszczurów to w karykату-

ralnym skrócie historia cywilizacji przemysłowej i jej terażniejszość, nie brak aluzji do epoki kolonializmu, handlu niewolnikami, różnych sposobów wyzysku taniej siły roboczej (tu płazów).

Co najciekawsze, autor atakuje negatywne zjawiska współczesnej kultury: degradacji jednostki, zubożenia życia duchowego, presji światopoglądowej standaryzacji, politycznej demagogii, dominacji reakcji rynkowych, co wszystko razem wzięte pozbawia ludzkość jakichkolwiek naturalnych mechanizmów obronnych, czyniąc z człowieka obiekt cynicznej manipulacji. Sam nie wiem, czy dla mnie ważniejsza jest wizja pisarza Čapka, czy socjolog i historyk Bauman i jego współczesna, bieżąca, dzisiejsza, oryginalna teoria o ponowoczesności w dziedzinie społecznej aktywności.

Wszak oświeceniowy charakter kultury niosącej „kaganek oświaty” i zmieniającej „lud” w świadomych obywateli wyczerpał się. Dzisiejszy „lud” jest wszystkożerny i chłonny, wstrzemięźliwy i zachowawczy, ale podatny na łatwiznę i wyczekujący. A ta jego wrażliwsza część - animatorzy kultury, artyści, zawodowcy i amatorzy: malarze, rzeźbiarze, muzycy, piosenkarze poeci, etc., a także urzędnicy - amatorzy 2013 roku, to spece od kultury indywidualnej, niepodlegający nakazom czy zakazom, służący wciąż na nowo kreowaniu potrzeb i spełnianiu oczekiwań, jeśli tylko takie są.

Ale jak się poruszać w świecie, w którym zatarte zostały granice między lotem sztuki wysokim a niskim, sztuką profesjonalną a twórczością amatorską. Czym jest dziś oryginał i jak odróżnić przetwarzanie twórcze od jałowego. Czy mamy wpływać na edukację kulturalną i jak to robić, jakich modeli funkcjonowania kultury oczekiwać. Dziś tak popularne jest cytowanie i przerabianie dawnych form i dzieł, naśladownictwo - „sztuka” lekka, łatwa i przyjemna, bo sprzedawalna.

Tak sobie imaginuję, że warto pójść w ślady Čapka i postacie ludzkie wtłoczyć w odwołki owadzie dokonując małej segregacji. Trochę to makabryczny zabieg, ale niekoniecznie, ujęty w metaforę ewolucyjną charakteryzuje artystów jako imago, ni mniej ni więcej ukształtowaną dorosłą postać owada z reguły zdolnego do reprodukcji. Ponieważ owad owadowi nierówny, w stadium rozwojowym ważki czy świerszcza larwa przypomina osobnika dorosłego, a w serii kolejnych liniiłi przekształcają się narzędzia, powiększają się rozmiary ciała, larwa rośnie aż do uzyskania wielkości postaci dojrzałej, imago właśnie.

W przypadku pszczoły lub motyla metamorfoza przebiega dłużej, bo larwa - gąsienica przechodzi jeszcze stadium poczwarki. Jest ona zwykle zamknięta w kokonie, nieruchoma w oprzędzie, nie pobiera pokarmu. Gąsienice większości gatunków są roślinożerne i często bardzo żarłoczne, a przez to są czasem uznawane jako

groźne szkodniki. Rozwój pszczoł i motyli związany jest z rozwojem kwiatów, bo te są zapylane, co jest pożyteczne, a nektar i soki roślin są stałym pokarmem tych owadów.

Imago to artysta profesjonalny, a jego artystyczne wnętrza rozwija się pewnie od dziecka, dojrzewa systematycznie. Zanim wyćwierka swoje artystyczne credo, dojrzewając po kolejnych liniach, utrwała w sobie przekonanie o twórczych możliwościach, nabywa wysokiej samooceny. Rośnie w nim wiara i puchnie ego, gruntuje się sen, że ktoś kiedyś dokona odkrycia i wyniesie ten dar Boży na szczyty kariery. Nie jest dobrze, jeśli taki wyzwolony twór pławi się w samouwielbieniu i wierzy w to, że tylko jego twórczy punkt widzenia jest jedynym właściwym, nie wymagającym pokory. Tu wstrzymuję się ze złośliwościami, że gąsienica puchnąc w siłę będzie żarłoczna (niech jest) gorzej, bo będzie szkodzić (najwyżej sobie nieumiejętnie budując image własne). Smutnym jest to, że co czwarty absolwent z ukształtowaną formalnie duszą artysty ma kłopoty ze znalezieniem pracy, a ci którym się to uda, raczej nie będą pracować w zawodzie, to artyści bez etatu.

Artyści amatorzy to cicha konkurencja dla artystów z cenzusem, nie ujęta w żadne statystyki, samorodna z nieukształtowanymi talentami, przeważnie. Dla tej grupy rezerwuje poczwarcze kokony, by w ich oprzędach rodzili się kandydaci na artystów, budując i utrwalając prywatne ego. Amator to nie poczwarka wprost - imago, to ewoluujący owad, nie dlatego, że jest taki robotny jak pszczoła (jedyna, w przyrodzie, wraz z dżdżownicą kalifornijską zasługująca na pomnik).

Z kokonem jest tak, jak z szufladą do której tka się i utyka wierszowane myśli, by w końcu jako twórcze możliwości wystawić je na światło dzienne dla publicznego osądu i takiej chwały. Skupiam się nie na poetach, też artystach słowa, a na przedstawicielach sztuk pięknych - oddziałów przednich kultury i silnika jej dynamiki.

Choć historia sztuki zna artystów, których odkryto dopiero po śmierci, każdy z aktywnych ludzi nosi „w tornistrze marszałkowską buławę”. Może nie wszystkim artystom, ale jakiejś ich części przypadnie ich dziełom w udziale coś więcej niż szansa motylego żywota i pięć minut chwały jako Paź Królowej. A motyl to ze strefy podzwrotnikowej, duży do rozpiętości ok. ośmiu centymetrów i piękny: żółty z czarnym deseniem oraz turkusowymi i czerwonymi plamkami. Warto być pięknym motylem.

Najbardziej wypracowane subtelności retoryczne nie mają żadnego wpływu na realia, których wymowa jest jednoznaczna. O losach i karierze artystów decyduje rynek, mecenas, chimeryczny odbiorca, a na końcu on sam i to co mu w duszy gra, jego wyjątkowość. Image, obraz i wizerunek postaci stworzony na podstawie działalności twórczej i zawodowej oraz cech osobistych ma tu najmniejsze znaczenie.

Czesław Guit, Lubuń

Ciekawy Stralsund i Trzęsacz



Planując letni wypoczynek bierzemy pod uwagę różne kryteria, lecz kwestią decydującą o wyborze miejsca jest najczęściej... zasobność naszego portfela

Jeżeli nie możemy pozwolić sobie na dwutygodniowe leniuchowanie pod palmami, kąpiele w lazurowym morzu, zwiedzanie piramid, czy romantyczne spacerki krętymi uliczkami śródziemnomorskich miasteczek - pozostaje nam poszukać alternatywy. Mówiąc wprost: bliżej i taniej. W swoim regionie lub w zasięgu jednodniowego wypadu samochodem znajdziemy bogatą ofertę ciekawych miejsc, miast i obiektów oferujących nam niezapomniane wrażenia.

Jednym z ciekawych wariantów jest polskie wybrzeże i krótka wycieczka za polsko-niemiecką granicę. Z pewnością każdy słyszał w szkole o niszczącej działalności morskich fal, a wielu mieszkańców regionu obserwowało zaskakujące efekty sztormów. Znajoma plaża potrafi zaskoczyć swoim nowym kształtem i poturbowanym obliczem, usłana tym, co wzburzone morze wyrzuciło na brzeg. Jadąc na zachód wzdłuż bałtyckiego wybrzeża dotrzemy do miejscowości Trzęsacz. To jedna z małych nadmorskich miejscowości wypoczynkowych w gminie Rewal i kąpielisko morskie w północno-zachodniej części Polski. Na wschód od Trzęsacza przechodzi południk 15° długości geograficznej wschodniej, wyznaczający czas środkowoeuropejski. Skoro to jedna z wielu małych, nadmorskich miejscowości rozsianych między Gdańskiem a Świnoujściem, dlaczego warto zajrzeć akurat tam? Powodem są ruiny gotyckiego kościoła wybudowanego pośrodku wsi na przełomie XIV i XV wieku w odległości prawie dwóch kilometrów od brzegu. Kościół był miejscem spotkań różnych wspólnot (katolicy, protestanci), miał też typową dla niewielkich gotyckich świątyń urodę i klimat. Nie to jednak przyciąga dziś turystów, lecz fakt, że fragmenty ostatniej ściany stoją zabezpieczone przed upadkiem na stromym klifie wybrzeża. W niewielu miejscach tak wyraźnie zaznaczyła się niszcząca działalność morza, które w ciągu kilku stuleci (w czasie geologicznym to zaledwie chwila) zabrało dwukilometrowy odcinek lądu.

Z Trzęsacza proponuję dalszą podróż na zachód z myślą o przenocowaniu na terenie Niemiec. Po drodze minimy wiele atrakcyjnych miejsc, które również mogłyby stać się celem naszej rodzinnej wycieczki (między innymi Międzyzdroje, wyspa Wolin z parkiem narodowym, turkusowe jezioro). Przekraczamy granicę i udajemy się na pół-

i dbałości o swoje lokalne dobra. Śródmieście Stralsundu wyróżnia się dużą ilością zabytkowych budowli, a niektóre z nich pokazują kierunek przemian społecznych zachodzących u naszych zachodnich sąsiadów i w Europie. Przykładem są budynki sakralne. Kościół św. Jakuba jest dziś wykorzystywany jako dom kultury, we franciszkań-



Fot. P. Sikorski

nocny-zachód do hanzeatyckiego miasta położonego w kraju związkowym Maklemburgia - Pomorze Przednie. Miasto leży nad cieśniną Strelasund i ma dobre połączenie z największą niemiecką wyspą - Rugią. Stralsund jest jednym z najważniejszych miast regionu (obok Neubrandenburga, Rostocku i Szwerina), a lubeckie prawa miejskie uzyskał w 1234 roku. W 2002 roku Stare Miasto Stralsundu wraz ze starówką Wismaru zostało wpisane na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO. Starówka zadziwia piękną, zabytkową architekturą, a ład i porządek zdradzają przywiązanie mieszkańców do estetyki miejsca zamieszkania

skim klasztorze św. Jana znajdują się archiwa miejskie, klasztor św. Katarzyny (jedna z najstarszych budowli gotyku ceglanego krajów nadbałtyckich) mieści obecnie Muzeum Historii i Kultury oraz Muzeum Morskie. Atrakcją, której nie wolno pominąć podczas wizyty w Stralsundzie jest Oceanarium (Ozeaneum). Otwarte w 2008 roku już w 2010 zyskało miano Europejskiego Muzeum Roku. Ekspozycje i sale tematyczne są tam w ten sposób przedstawione, by zwiędzający miał wrażenie „spaceru” wśród głębin oceanów. Turyści (przeżyłem to z moimi uczniami) wchodzą do wysokiej sali, zajmują miejsca na kółkach ułożonych leżankach, spoglądają w górę i... mają wrażenie, że z perspektywy dna morskiego obserwują to niezwykle środowisko. Pod sufitem zawieszono naturalnej wielkości figury morskich stworzeń (np. walenia), refleksy światła w zaciemnionej przestrzeni imitują falującą powierzchnię oceanu, a dobiegające z głośników odgłosy orka, wielorybów i delfinów sprawiają, że na moment zapominamy o naszym ziemskim świecie, przenosząc się w ten wodny, pełen zaskakującej gracji tak wielkich stworzeń. Wrażenia warte podróży do Stralsundu - miasta, które zaspokoi oczekiwania miłośników morskiej przyrody, amatorów architektonicznych pereł, historyków i podróżnych, którzy w niedalekiej odległości od naszego powiatu zechcą przeżyć niezapomniane wrażenia gościnnej i dobrze zorganizowanej społeczności.

Piotr Sikorski, Słupsk



Fot. P. Sikorski

Wiktoria znaczy zwycięstwo!



Czy imię może determinować naszą przyszłość? Często się nad tym zastanawiamy, nadając imię dziecku. Oczywiście, jeśli nie idziemy za modą i nie krzywdzimy go na całe życie Isaurą, Kewinem czy Barbie. Myślę, że z takim pozytywnie znaczącym imieniem mamy do czynienia w przypadku mieszkanki naszego powiatu Wiktorii Banaszewskiej. 23 marca w Gdańsku odebrała nagrodę jako laureatka Megaolimpiady z języka polskiego. Wiktoria jest uczennicą klasy VI A Zespołu Szkolno-Przedszkolnego w Dębnicy Kaszubskiej. W Megaolimpiadzie wzięło udział 2385 uczniów! Można się było wykażać w ortografii (klasy II i III), znajomości języka angielskiego, języka polskiego, matematyki historii i przyrody (klasy IV-VI). Z każdego przedmiotu trzy najlepsze wyniki dawały miano laureata. Zdarzało się, że jeden uczeń był laureatem dwóch lub nawet trzech przedmiotów.

Patronem konkursu jest „Gazeta Wyborcza”, a sponsorem PZU. Organizuje go Gdańskie Gimnazjum „Lingwista”. Dlaczego wspominam organizatora, szkołę z wieloma sukcesami? Chcę pokazać, jak można pozyskać najlepszych uczniów z województwa. Organizatorzy proponują laureatom 100 lub 50-procentowy upust czesnego na cały okres nauki. Oczywiście w praktyce nie jest możliwe, aby uczennica z Dębnicy Kaszubskiej skorzystała z takiego stypendium, ale sytuacja się zmienia, gdy mieszkamy w Trójmieście, mamy tam rodzinę lub zdecydujemy się zamieszkać w internacie.

W dobie, gdy różnego rodzaju pseudoakademie organizują płatne konkursy z tych samych dziedzin, warto o takiej nagrodzie i takiej szkole wspomnieć. Oto przede mną jedna z ulotek. Dziecko za udział w konkursie musi zapłacić osiem złotych. Jeśli szkoła zbierze pięćdziesięciu uczestników, to złotówkę od każdego może zatrzymać dla siebie, a organizatorom wysłać siedem złotych od ucznia.

A co w zamian? Wszyscy otrzymają dyplomy uznania, a najlepsi zostaną uhonorowani dyplomami grawerowanymi. Ba, niektórzy mogą nawet dostać książkę. Najbardziej jednak ubawiło mnie takie zdanie: „Szkolny koordynator konkursu otrzyma stosowne zaświadczenie informujące

o przeprowadzeniu ogólnopolskiego konkursu przedmiotowego”. I co nauczyciel ma z takim zaświadczeniem począć? Jeszcze z nie daj Bóg grawerowanym? Osobiście nigdy nie nakłaniam dzieci do konkursów płatnych. Zgodnie z Konstytucją są one nielegalne. Jednak, jak się okazuje, wiele instytucji może się przy oświacie wyżyć, szczególnie w dobie słupków, rankingów i list popularności. Dziecko otrzymuje dyplom informujący, że zajęło na przykład piąte miejsce w ogólnopolskim konkursie, ale że takich miejsc piątych jest na przykład siedemset, nikt już nie informuje.

Wracam do naszej laureatki. Oprócz dyplomu, pucharu i nagrody książkowej wręczonej przy pełnej widowni kina Helios Alfa Centrum w Gdańsku, Wiktoria otrzymała także pismo skierowane do swoich rodziców. Pozwolę sobie je zacytować: „Szanowni Państwo. Z radością pragnę poinformować, że Państwa córka Wiktoria Banaszewska otrzymała stypendium w postaci 50 proc. upustu czesnego na czas trwania nauki w Gdańskim Gimnazjum „Lingwista” im. Hymnu Narodowego. Serdecznie gratuluję Państwu osiągnięć córki w nauce. Jestem przekonana, że są one konsekwencją tego, jak wielką wagę w Państwa Rodziny przywiązuje się do nauki i zdobywania wiedzy. Cieszę się, że dzięki wsparciu i pomocy osób takich jak Państwo, łatwiej jest nam w sposób efektywny tworzyć atmosferę sprzyjającą optymalnemu rozwojowi oraz kształtować przekonanie o decydującym znaczeniu wartości wiedzy i wykształcenia dla współczesnego człowieka. Mam nadzieję, że jeszcze wielokrotnie będziecie Państwo mieli okazję czerpania radości i satysfakcji z osiągnięć córki. Z wyrazami szacunku: Dyrektor Zarządzający Szkołami - Ewa Puczyłowska”.

Prawda, że miło dostać coś takiego? Oczywiście Wiktoria już od miesiąca wie, że będzie miała szóstkę z języka polskiego na koniec roku szkolnego.

Jerzy Fryckowski, Dębica Kaszubska
P.S. Jednak teza postawiona w pierwszym zdaniu się sprawdza. Przed chwilą dowiedziałem się, że Wiktoria otrzymała wyróżnienie za prozę w XXIX Międzynarodowym Konkursie Literackiej Twórczości Dzieci i Młodzieży Gimnazjalnej w Słupsku.(J.F.)

Dziecko otrzymuje dyplom informujący, że zajęło na przykład piąte miejsce w ogólnopolskim konkursie, ale że takich miejsc piątych jest na przykład siedemset, nikt już nie informuje

Znane powiedzenie: „Polak - Węgier dwa bratanki...” wypełnia bogata treść. I co szczególnie ważne: w sytuacjach zagrożeń i potrzeb zawsze sobie pomagaliśmy! Z tego bardzo długiego rejestru podam tylko dwa przykłady z okresu II wojny światowej i z roku ...1997.

1939-1946: Nie tylko otwarta granica

Po militarnej agresji hitlerowskich Niemiec na Polskę we wrześniu '39 ówczesne Królestwo Węgier było tym sąsiadem Rzeczypospolitej, który wobec nas, Polaków, zachował się jak żaden inny. Na wiele miesięcy przed wybuchem wojny propolska elita węgierskich władz kilka razy dała Berlinowi do zrozumienia, że nie znajdzie się po jego stronie wobec Polski, choć jednocześnie nie kryła się z planem odzyskania utraconych na mocy traktatu w Trianon (1920) przynajmniej części swych terytoriów, licząc na wsparcie właśnie Niemiec.

Hitler chciał zaatakować Polskę również od południa. By to zrobić, jego wojska musiałyby przejść przez terytorium Węgier, z którymi od wiosny 1939 roku łączyła nas wspólna granica. W tym kontekście ileż mówi deklaracja Istvána Csákyego, szefa węgierskiej dyplomacji, z 27 kwietnia '39, której fragment przytoczę: „Ten, kto przekroczy granicę węgierską bez naszego pozwolenia będzie uważany za wroga (...) Wzajemne sympatie, które przez wieki gromadziły się w narodzie węgierskim i polskim, przekształciły się w prawdziwe, choć nie podpisane, przymierze, którego ani rząd węgierski, ani polski nie mogą lekceważyć”.

Na twarde żądanie III Rzeszy z 9 września '39 o zgodę na ww. przemasz żołnierzy



Fot. Archiwum G. Łubczyka

Historia sercem pisana

Nie tylko w Europie ze świecą szukać dwóch takich narodów jak polski i węgierski, które mają prawo wzajemne relacje nazywać „braterskimi” i to przez okres aż tysiąca lat!



Fot. Archiwum G. Łubczyka

Hitlera, premier Pál Teleki odpowiedział: „Ze strony Węgier jest sprawą honoru narodowego nie brać udziału w jakiegokolwiek akcji wojskowej przeciw Polsce”.

Równie wielkim aktem politycznej odwagi było otwarcie węgierskiej granicy przed ponad 120 tysiącami Polaków, którzy szukali schronienia po radzieckim

„ciosie w plecy”, jaki otrzymaliśmy 17 września '39. Nie lamentowano, co zrobić z taką armią uchodźców, umieszczając w okresie paru tygodni wojskowych w 140 obozach, a cywilów w ponad 110 miejscowościach, choć łączyło się to z ogromnymi problemami natury socjalnej, finansowej, a także politycznej. Warto też wiedzieć, że węgierskie władze świadomie przemykały oczy na nielegalne przerzuty naszych żołnierzy z Węgier do Armii Polskiej, tworzonej przez gen. Władysława Sikorskiego we Francji. Od października '39 do czerwca '40 z szansy tej skorzystało ponad 30 tysięcy Polaków.

Nie mam wątpliwości, że wielowiekowe braterstwo było głównym źródłem motywacji w niesieniu Polakom pomocy przez takich Węgrów, jak regent Miklós Horthy, premier Pál Teleki i minister spraw wewnętrznych Ferenc Keresztes-Fischer, jak kardynał Jusztinián Serédi i ksiądz Béla Varga, jak szef XXI Departamentu w Ministerstwie Honwedów - płk Zoltán Baló, jak hrabiny Károlyi Józsefné i Erzsébet Szapáry, jak tysiące im podobnych. Bez dobrej współpracy z uchodźcami József Antall se-

nior, pełnomocnik Rządu Królestwa Węgier ds. Opieki nad Uchodźcami, nie zyskałby zaszczytnego miana „Ojczulka Polaków”! Z kolei jego główny partner - Henryk Sławik, prezes Komitetu Obywatelskiego ds. Opieki nad Uchodźcami Polakami na Węgrzech, nie otoczyłby wzorową opieką dziesiątek tysięcy Polaków, a także nie uratowałby ponad 5 tysięcy obywateli polskich żydowskiego pochodzenia.

Z przyjaźnią jest jak z kwiatem, by cieszył oko trzeba go pielęgnować. W ramach przypadającego w 1999 roku jubileuszu 60-lecia wojennego uchodźstwa polskiego na Węgrzech Ambasada RP zorganizowała



Fot. Archiwum G. Łubczyka

rocznicowe obchody w piętnastu miejscowościach pod hasłem: „Pamiętamy i Dziękujemy”. Te dwa słowa dominowały też na specjalnie wybitym Medalu Wdzięczności, którym honorowaliśmy weteranów wojennej pomocy i osoby zasłużone w krzewieniu wiedzy o tym węgiersko-polskim braterstwie. Klamrą zaś spinającą obchody stało się wydanie w 2000 roku w języku węgierskim wspomnień polskich uchodźców „Menekült - rapszódia. Lengyelek Magyarország 1939 - 1945” (Uchodźcza rapsodia. Polacy na Węgrzech 1939 - 1945) jako rozszerzone wydanie polskiej edycji wspomnień z 1999 roku. Swego zaś rodzaju kropką nad „i” obchodów 70-rocznicy uchodźstwa polskiego było wydanie przez warszawskie wydawnictwo RYTM w 2009 roku dwujęzycznego albumu Krystyny i Grzegorza Łubczyków „PAMIĘĆ / EMLÉKEZÉS” w opracowaniu i graficznym Krzysztofa Duckiego. Ta ilustrowana historia pobytu w latach 1939 - 1946 tysięcy Polaków na Węgrzech, będąca wyrazem naszej, polskiej wdzięczności, w 2012 roku została wzbogacona i rozszerzona o tom drugi: „PAMIĘĆ II / EMLÉKEZÉS II.”.

1997: Wielka woda

Powódź tysiąclecia, jaka nawiedziła Polskę w 1997 roku, tym razem u Węgrów wzbudziła nie tylko współczucie. Władze RW natychmiast wysłały nad Odrę świetnie

wyposażoną ekipę techniczną, która ratowała Wrocław i okolice. Węgiery artyści zorganizowali aukcję swych dzieł na rzecz powodzian, a niemal 100 węgierskich samorządów przyjęło ponad 7 tysięcy polskich dzieci z terenów powodziowych na 2-3-tygodniowe turnusy wypoczynkowe. Natomiast we wrześniu około 2 tysięcy uczniów z nauczycielami z terenów powodziowych uczyło się na Węgrzech w ramach tzw. zielonych szkół.

Dziękowaliśmy im potem m.in. koncertami polskich zespołów artystycznych. Do najbardziej zaś ofiarnych w tej akcji osób i instytucji Ambasada RP wysłała bli-

sko 1300 ozdobnych listów. Uważam bowiem, że w tego rodzaju sytuacjach najważniejsze jest słowo „Dziękuję”.

Nie musieliśmy długo czekać, by w jeszcze inny sposób wyrazić naszą wdzięczność. W następnym roku powódź nawiedziła północne i wschodnie Węgry. Kilkadziesiąt tysięcy dolarów, jakie wówczas

nasza Ambasada otrzymała z Kancelarii Premiera RP przeznaczaliśmy na wspólną ze Stowarzyszeniem św. Wojciecha organizację w Domu Polskim na Kőbányi 3-tygodniowych turnusów dla dzieci powodzian z ukraińskiego Zakarpacia, zamieszkałego m.in. przez Węgrów. Pieniądzy starczyło na 4 turnusy, gdy nam udało się tę akcję wydłużyć do 6 turnusów! Było to możliwe dzięki ofiarnej postawie wielu członków stowarzyszeń i biznesmenów polonijnych oraz zaprzyjaźnionych z Polakami instytucji węgierskich. W efekcie 150 dzieciaków węgierskich i ukraińskich ze swymi nauczycielami od stycznia do lipca 1999 roku uczyło się, poznawało Węgry i zaocznie Polskę, zapominając na kilka tygodni o powodziowej tragedii.

Po następnej zaś powodzi niesfornej Cisy w 2000 roku nasza Ambasada wysłała blisko 700 małych Węgrów na zwiedzanie i wypoczynek w Polsce. Natomiast za zebrane wtedy przez polonijnych biznesmenów i miejscową Polonię środki wyremontowano zniszczoną szkołę w Vámosújfalú. Jednocześnie nasi strażacy - ratownicy przez kilka tygodni bronili Szolnok przed zalaniem. I to z powodzeniem.

Grzegorz Łubczyk, Warszawa

Autor był Ambasadorem RP na Węgrzech w latach 1997 - 2001. Tematyka polsko-węgierska dominuje w jego książkach i filmach dokumentalnych.

W We wrześniu 1980 roku w Wyższej Szkole Pedagogicznej powstało Studenckie Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Węgierskiej. W tym okresie młodzież była szczególnie zainteresowana wyjazdami poza „zamknięte” granice naszego kraju. Studencka inicjatywa wzbudziła spore zainteresowanie wśród mieszkańców Słupska i regionu, stała się załączkiem Oddziału Wojewódzkiego TPPW. Na efekty związane z formalnym utworzeniem organizacji czekano trzy lata. 19 stycznia 1983 roku zarejestrowano oficjalnie oddział Towarzystwa. Założycielem był Wacław Bartusik, który objął również funkcję pierwszego prezesa i pełnił ją nieprzerwanie przez dziewięć lat - do 1992 roku. Po tym okresie nadal działał aktywnie w organizacji, niemal do końca swojego życia. W Kronice TPPW z 1983 roku czytamy, iż „statutowym zadaniem Towarzystwa jest pogłębianie i zacieśnianie historycznej przyjaźni z narodem węgierskim, z którym zawsze łączyły i łączą nas więzy braterskiej pomocy i wspólnych walk wyzwolńczych, a obecnie współpracy w wielu dziedzinach życia”. Poza działalnością strictly kulturalną i informacyjną do planu pracy wprowadzono organizację kursów nauki języka węgierskiego. Jesienią organizowano Dni Kultury Węgierskiej. Od początku też założono, iż działalność Towarzystwa będzie oparta na bezpośrednich kontaktach z polskimi i węgierskimi organizacjami o podobnym profilu. TPPW posiadając osobowość prawną weszło w skład Federacji, której koordynatorem była Rada Główna Stowarzyszeń Polsko-Węgierskich. Pierwszą siedzibą TPPW w Słupsku był Klub Ligii Kobiet Polskich, który mieścił się przy ulicy Wojska Polskiego 2. Bardzo szybko nawiązano współpracę międzynarodową, organizując wymiany osobowe, wycieczki krajoznawcze, wczasy i zbiorowe wyjazdy do Węgierskiej Republiki Ludowej. Prowadzono szeroko zakrojoną działalność informacyjną. Już w 1983 roku akces wstąpienia do Towarzystwa zadeklarowało ponad dwa tysiące osób. W latach osiemdziesiątych Polacy chętnie wyjeżdżali na Węgry, korzystając z ofert pracy zarobkowej przy zbiorach winogron, brzoskwiń i papryki oraz wykonując inne prace w gospodarstwach rolnych i zakładach.

W 1992 roku funkcję prezesa TPPW objęła Krystyna Wronowska, niezwykle energiczna i pełna pasji osoba, zafascynowana kulturą Węgiei. Będąc członkiem Zarządu ds. Turystyki w 1983 roku współorganizowała pierwszy wyjazd na Węgry do Szolnok. Wybór miejsca nie był przypadkowy, bowiem rewolucyjna historia 1956 roku związana jest nie tylko z Budapesztem, ale również z Szolnokiem, leżącym około stu kilometrów od stolicy Węgiei. W 1956 roku udział polskich studentów w Komitetach Rewolucyjnych, utworzonych przez węgierskich powstańców, jak i samych polskich studentów, był istotny w kontekście braterskiej solidarności. W Szolnoku podpisano porozumienie dotyczące wyjazdów grup zorganizowanych ze

Fot. Archiwum Autora

Poznawanie kultur

Wszystko zaczęło się od słupskich studentów, którzy czuli głód poznawania świata, odkrywania nowych kultur, nawiązywania kontaktów oraz wspólnego działania



Słupska do pracy w zakładach produkcyjnych, głównie do zbioru owoców i warzyw. Przez szereg lat TPPW zorganizowało 77 grup, w których uczestniczyło 2247 osób. W Słupsku odbywało się wiele imprez, w tym: koncerty, seanse filmowe, odczyty, prelekcje, wystawy. Inicjowano i współdziałano w organizowaniu kursów nauki języka węgierskiego, tańca oraz haftu, popularyzowano literaturę i prasę węgierską. Prowadzono dwustopniowy kurs języka węgierskiego dla początkujących i zaawansowanych w siedzibie Zarządu Wojewódzkiego TPPW w lokalu PSS-u przy ulicy Przemysłowej. Zakładowe Koła TPPW prowadziły ożywioną działalność.

Z kart kronik wynika, iż w TPPW w latach osiemdziesiątych w województwie słupskim działało 71 kół, skupiających ponad dwa tysiące osób. Najaktywniej działały koła skupione przy Fabryce Maszyn Rolniczych „Famarol” w Słupsku, w Stoczni Ustka, Przedsiębiorstwie Połowów i Usług Rybackich „Korab” w Ustce i w Zakładzie Przemysłu Cukierniczego „Pomorzanka”.

Krystyna Wronowska funkcję prezesa pełniła przez trzynaście lat - do 2005 roku. W uznaniu zasług za tworzenie polsko-węgierskich więzi, Prezydent Republiki Węgierskiej uhonorował ją i Wacława Bartusika Złotymi Krzyżami Zasługi Republiki Węgier. Obecnie pełni ona funkcję Honorowego Prezesa TPPW w Słupsku.

Na przestrzeni trzydziestu lat zmieniły się siedziby Towarzystwa. Od 1997

roku korzysta ono z gościnności Słupskiego Ośrodka Kultury. W ostatnim czasie spotkania odbywają się w lokalach Miejskiej Biblioteki Publicznej. Kolejno następujące po sobie Zarządy prześcigały się w pomysłach, bowiem czasy się zmieniały, a wraz z nimi potrzeby odbiorców. W Towarzystwie nigdy nie brakowało pasjonatów i społeczników, którzy chętnie dzielili się swoją wiedzą i doświadczeniem. Słupszczanie przez



Fot. Archiwum Autora

trzydzieści lat chętnie odkrywali węgierskie zwyczaje, kuchnię, film, taniec, muzykę i literaturę. Aktywna forma współpracy promowała w pogłębianiu przyjaźni i współpra-

cy naukowej, gospodarczej, turystycznej, społeczno-politycznej i kulturalno-oświatowej. Inicjowano szereg spotkań, wystaw, koncertów, przeglądów filmowych, kursów językowych oraz wyjazdów o charakterze turystycznym i zarobkowym. Słupszczanie poznali m.in.: Budapeszt, Kecskemét, Gyula, Székkutas, Orosháza, Csongrad, Miskolc, Mezőkövesd, Bogács. W ostatnich latach dużym zainteresowaniem cieszy się miasteczko Eger. Współpracę podjęły środowiska akademickie, Popularyzując tradycje polsko-węgierskie Towarzystwo ma realny wpływ na przekaz historii, na zachowanie tradycji oraz integrację w Unii Europejskiej.

W 2005 roku rola prezesa TPPW w Słupsku przypadła Elżbiecie Żołyńiak, kobiecie o niezwyklej osobowości i duszy artysty. Towarzystwo pod jej „skrzydłami” zrealizowało wiele zamierzeń. W 2006 roku w Galerii Biblioteki Wojewódzkiej w Egerze zorganizowano wystawę prac członków Klubu Plastyka im. Stefana Morawskiego pt. „Pejzaże Pomorza”. Od wielu lat artyści z Węgier uczestniczą w międzynarodowych plenarach malarskich. W Międzynarodowym Plenarze Malarskim w Łebie uczestniczyli m.in.: Zoltán Révész, István Pataj i Nagy Agnes.

W 2006 roku w Słupsku odbyło się wiele imprez upamiętniających 50. rocznicę tragicznych wydarzeń w Polsce i na Węgrzech pt. „Poszli polską drogą”. Zorganizowano kilka wystaw tematycznych, m.in. „Nadzieja na wolność - 1956” w Muzeum Pomorza Środkowego; „Bogu, Ojczyźnie, Bliźniemu” w Kościele p.w. Świętej Rodziny. Organizowano wykłady, spotkania autorskie, prezentacje filmów oraz koncerty. Imprezy te odbyły się przy współudziale Ambasady Republiki Węgierskiej w Warszawie, Rady Głównej Federacji Stowarzyszeń Węgierskich oraz Węgierskiego Instytutu Kultury w Warszawie. Wśród gości, którzy odwiedzili Słupsk znaleźli się m.in.: Gábor Hárs, Mihály Györ, Robert Kiss (ambasadorzy Republiki Węgierskiej); Imre Molnár i András Asztalos (radcowie Ambasady); Jan Stolarski i Michał Stefański (prezesa Federacji Stowarzyszeń Węgierskich w Polsce).

Tradycją stały się „Dni Węgierskie” w Słupsku, które odbywały się z mniejszą lub większą częstotliwością. W 2008 roku w obchody zaangażowała się Miejska Biblioteka Publiczna im. Marii Dąbrowskiej. W kolejnym roku nabrały one szczególnego charakteru, bowiem w bezpośrednie działania zaangażowano powiat słupski. Od 2009 roku imprezy promujące kulturę i sztukę Węgier odbywają się cyklicznie wiosną w Słupsku i powiecie słupskim.

W 2010 roku prezesem organizacji został Eugeniusz Durka. Jak już wcześniej wspomniano, słupszczanie urzekły uroki mia-

steczka Eger. Nieprzerwanie od roku 2001 odbywają się wycieczki do tegoż urokliwego węgierskiego uzdrowiska, położonego nad potokiem Eger, między Górami Bukowymi i Mátra. Miasteczko jest znane przede wszystkim z bijącego źródła wód termalnych, wina Egri Bikavér oraz z obrony zamku przed Turkami. Na skraju miasta znajduje się „Dolina Pięknej Pani” (Szépasszony-völgy). Mieści się tu największe i najpopularniejsze skupisko piwniczek wykutych w wulkanicznym tufie, który ponoć idealnie nadaje się do przechowywania wina - zapewnia doskonałą wentylację i stałą temperaturę około 12 stopni Celsjusza. Tutaj też działa Egerskie Towarzystwo Rycerzy Turystyki Winnej, skupiające mieszkańców nie tylko Egeru, ale i ludzi z całego świata. Organizacją wyjazdów do Egeru od 2010 roku zajmuje się Mirosława Kwiatkowska - wiceprezes TPPW.

Od początku projekt wymiany kulturowej związany z Dniami Kultury Węgierskiej zakładał organizację wystaw oraz spotkań związanych z literaturą, historią, etnografią, filmem, kuchnią oraz współczesną muzyką węgierską. Z biegiem lat w organizację Dni zaangażowały się instytucje kultury w Słupsku, warszawskie wydawnictwa, organizacje pozarządowe, biblioteki, muzea, szkoły w Słupsku i powiecie słupskim. Nie jest łatwo w ciągu kilku dni „spiąć” tak wiele różnorodnych działań bez wsparcia wielu innych instytucji czy organizacji. Organizatorzy DKW wypracowali jeden wspólny cel, którym jest upowszechnianie kultury węgierskiej wśród mieszkańców Słupska i regionu słupskiego oraz próba połączenia dwóch kultur w kontekście integracji z Europą. W latach 2010 - 2012 gośćmi DKW byli m.in.: dr Árpád Jóób, muzykolog, jeden z najlepszych współczesnych znawców węgierskiej muzyki ludowej; Andrzej Karczewski z Wydawnictwa MOST w Warszawie; Ákos Engelmayer, etnolog, nauczyciel akademicki, były ambasador Republiki Węgierskiej w Polsce; dr Bronisław Nowak, mediewista, pracownik naukowy Akademii Pomorskiej w Słupsku; Daniel Odija, prozaik, dziennikarz, publicysta; Anna Górecka, hungarystka, tłumaczka, redaktorka „Literatury na Świecie”; dr Elżbieta Cygielska, hungarystka, tłumaczka, wykładowca Uniwersytetu Warszawskiego; Klára Molnár, węgierka, András Asztalos, ekonomista, były radca Ambasady Węgier w Warszawie, znawca muzyki współczesnej; Tadeusz Olszański, hungarysta, dziennikarz sportowy, dziennikarz „Polityki”; Grzegorz Łubczyk, dziennikarz, pisarz, dokumentalista filmowy, ambasador RP na Węgrzech w latach 1997 - 2001.

Słupsk uznawany jest za miasto wielokulturowe, dlatego też wciąż istnieje potrzeba zgłębiania wiedzy na temat kultur innych narodów, w szczególności europejskich. TPPW okazało się organizacją ponadczasową, bowiem te cele, które przyświecały jej młodym twórcom - słupskim studentom w 1980 roku, są nadal aktualne.

Danuta Sroka, Słupsk



Ferenc Puskás

Kispest, Mały Peszt, był peryferyjną dzielnicą Budapesztu. To tam 1 kwietnia 1927 roku, w noszącej szwabskie nazwisko rodzinie Purczeld, urodził się najpopularniejszy w XX wieku Węgier - (czyt. Puszkasz). Kiedy ojciec Ferencza, który był piłkarzem Kispestu, w połowie lat 30. ukończył kurs trenerski, uznał, że z węgierskim nazwiskiem uzyska lepsze warunki pracy. Trafił wręcz kapitalnie z punktu widzenia piłkarskiej przyszłości syna, bo puskás to po węgiersku strzelec. I okiwał czas. Po 1945 roku ludowa władza

wprowadziła bowiem administracyjny nakaz zamiany niemieckich, żydowskich i słowackich nazwisk - na węgierskie.

Kispest miał swój knajacki charakter, ale nade wszystko liczyła się tam piłka nożna. Jak zresztą w całych Węgrzech, pogrążonych w traumie po przegranej I wojnie światowej. Na mocy traktatu w Trianon Węgry utraciły 2/3 swego terytorium z 1/3 rdzennie węgierskiej ludności. W sporcie szukano smaku potęgi. Na olimpiadzie w 1936 roku w Berlinie małe Węgry zajęły trzecie miejsce w klasyfikacji

Dla wielu jest najbardziej znanym Węgrem XX wieku. I w małym którym życiorysie piłkarskim odcisnęła się tak wyraźnie pogmatwana historia polityczna Europy Wschodniej i Środkowej

medalowej, a w 1938 roku piłkarze zdobyli wicemistrzostwo świata, przegrywając w finale z Włochami.

Ferenc był mikrusem, do dwunastego roku życia prawie nie rósł. W kopaniu piłki, najpierw na podwórkach, a potem na boisku Kispestu, wcale mu to jednak nie przeszkadzało. Nauczyło sprytu w kłopotach wyższych od niego chłopaków. A także tego, aby kopnąć w kostkę silniejszego, nim on zdąży to zrobić. Był czupurny, pyskatek, ale że strzelał bramki - lubiano go. W dodatku był nierozłącznym kumplem starszego o dwa lata Józsefa Bozsika, którego wszyscy słuchali. Razem potem trafili do reprezentacji.

Kiedy w całej Europie toczyła się wojna, na Węgrzech nadal grano w piłkę. Puskás miał 16 lat, kiedy w 1943 roku zadebiutował w I lidze w drużynie Kispestu. Zawodnikom wprawdzie nie płacono pieniędzy, ale miejscowi krawcy, szewcy, piekarze, rzeźnicy i karczmarze ubierali oraz karmili drużynę. Po treningach i meczach była kolacja, ale - co w wojennych czasach braku żywności najbardziej istotne - piłkarze dostawali na lewo chleb, mąkę, cukier, mięso. Wszystko jednak skończyło się klęską - w marcu 1944 roku Niemcy zajęli Węgry, potem utworzyli faszystowski rząd, wreszcie wojska radzieckie w lutym 1945 roku zniszczyły Budapeszt i zajęły cały kraj. Węgry ponownie popadły w traumę. I znów sport stał się nadzieją Madziarów.

Puskás nie był sam. Na Węgrzech objawiała się cała fala piłkarskich talentów. I co najważniejsze - niezwykle zdolny menedżer i trener Gustav Sebes. Ideowy komunista żydowskiego pochodzenia, który nie tylko dobrze znał całą komunistyczną władzę z generalnym sekretarzem Matyasek Rakosim na czele, ale był przez nią ceniony. W 1950 roku został trenerem i szefem kadry. Cel jeden: Węgrzy mają być najlepsi na świecie! I rzeczywiście wygrywali mecz za meczem, grali nieszablonowo, swobodnie. Kispest w tym czasie oddano armii i nazwano Honvedem. I do tego klubu została ściągnięta niemal cała reprezentacja - na oficerskie etaty i awanse. Puskás z czasem dojdzie do stopnia majora.

Najważniejsze wszakże, że był kapitanem drużyny, rządził na boisku i w szatni. Nie było meczu, by nie strzelił gola. Na olimpiadzie w Helsinkach Węgry kolejno wygrały z Rumunią 2:1, Włochami 3:0, Turcją 7:1, Szwecją 6:0 i w finale z Jugosławią 2:0. Ten mecz miał swoje polityczne kulisy. W półfinale Jugosławię wyeliminowała ZSRR. Porażka z państwem rządzone przez Tito wywołała taką wściekłość Stalina, że osobiście telefonował do Rakosiego z żądaniem, by Węgrzy pokonali Jugosłowian! I to Puskás w pierwszych minutach finału strzelił bramkę, która ustawiła cały mecz!

Szczyt sławy przyszedł 23 listopada 1953 roku w meczu z Anglią, która nigdy nie przegrała z nikim na swoim boisku. W świat poszedł słynny do dziś wynik 6:3 dla Węgrów. Najtrafniejszy bodaj komentarz sformułował tygodnik „Soccer”: „Nasi piłkarze okazali się wprawdzie świetnymi rzemieślnikami, ale artystami byli Węgrzy!”. Rewanż w Budapeszcie w maju 1954 roku, w przededniu mistrzostw świata, nie pozostawił żadnych złudzeń. Angolicy przegrali, jak nigdy w swoich dziejach 1:7! A Puskás wbił im drugiego i siódmego gola.

Na mistrzostwa świata do Szwajcarii Węgrzy jechali więc jako absolutni faworyci. A jednak przegrali! Drużyna, która pierwszy mecz w grupowych eliminacjach wygrała 8:3, z tym samym przeciwnikiem przegrała w finale 2:3! Puskás, który w tym turnieju zagrał tylko dwa mecze - pierwszy, w którym został kontuzjowany, i ostatni - właśnie z Niemcami, przez wiele lat nie mógł się z tą życiową klęską pogodzić. Ale też to właśnie on stał się kluczową postacią dramatu Madziarów. Węgry bowiem ogarnęła czarna rozpacz! W Budapeszcie doszło do ulicznych protestów. Zamiast triumfalnego powitania, w obawie przed kibicami, na granicy z Austrią piłkarzy wysadzono z pociągu i samochodami zawieziono do ośrodka sportowego w Tata. Bramkarzowi Gyuli Grosicsowi zarzucono szpiegostwo i kilka miesięcy przesiedział w więzieniu. Puskás - którego posądzano o przemyt - pauzował i zaczął tyć. Zawsze kochał dobrze zjeść, teraz zaczął popijać.

Puskás wrócił do kadry na mecz ze Szwecją, który miał odbyć się 25 października 1956 roku. Ale dwa dni wcześniej demonstracja na znak solidarności z wydarzeniami w Polsce zamienia się w powstanie narodowe przeciw komunistycznej władzy. Pod koniec miesiąca dwie klubowe drużyny, Honved oraz MTK, musiały stawić się w Hiszpanii i Włoszech na mecze o Klubowy Puchar Europy. Granica była otwarta, więc część piłkarzy zabrała ze sobą rodziny. Puskás - żonę Erzebet i 14-letnią córkę Aniko. 1 listopada Honved przegrał z Athletic Bilbao 2:3. W drodze powrotnej, 3 listopada, piłkarze w Wiedniu dowiedzieli się, że wojska radzieckie wkroczyły do Budapesztu, na ulicach leje się krew. Postanowili czekać na wyjaśnienie sytuacji. Nowe, ustanowione w Moskwie władze Węgier wzywały oba kluby do Budapesztu. UEFA nakazała natomiast Honvedowi czekać i rozegrać rewanż w Brukseli. Z całej Europy posypały się zaproszenia na towarzyskie mecze. Węgierscy piłkarze wszędzie grali z czarnymi opaskami na ramieniu, a spotkania zamieniały się w manifestacje solidarności z Węgrami. Połowa piłkarzy nie wróciła już na Węgry. Węgierskie władze domagały się dożywotniej dyskwalifikacji, FIFA zawiesiła ich na kilka miesięcy.

Puskás nie wrócił, a prezes Realu Madryt Santiago Bernabeu zaprosił go do gry w tym klubie. Początki miał trudne. Asami zespołu byli Alfredo di Stefano i Rajmund Kopaszewski. Czego ten 30-letni grubas tu szuka? - pytali piłkarze Realu na widok Węgry (który w tym czasie przytył 18 kg) i z miejsca nadali mu przydomek Pancho! Puskás w pocie czoła zrzucił nadwagę, szybko odzyskał swoją klasę. Nie tylko sam strzelał bramki, ale i podawał. W sezonie ligowym 1958/1959 przed ostatnim meczem miał w dorobku 24 gole. Tyle samo co di Stefano. I zamiast zostać królem strzelców, w końcówce wyłożył piłkę do Stefano. Połączy ich nie tylko futbolowa maestria, ale i szczerza przyjaźń. Real triumfował w Hiszpanii i Europie, Puskás do końca swej kariery w 1966 roku był noszony przez kibiców na rękach. Wszędzie było o nim głośno - z wyjątkiem Węgier; tam o jego sukcesach nie wolno było pisać.

Po zakończeniu sportowej kariery został trenerem klubów w Arabii, Egipcie, Kanadzie, USA, Chile, Paragwaju, Australii. Największy sukces odniósł w Grecji, gdy w 1971 roku doprowadził Panathinaikos do finału PKME (przegrali z Ajaksem 0:2).

Pod wpływem zachodzących na świecie zmian, a zwłaszcza po powstaniu Solidarności w Polsce, Węgry łagodziły kurs. Pod pozorem kręcenia filmu o „złotej drużynie” Puskás został zaproszony do Budapesztu. Początkowo obawiał się pojechać, ale uległ namowom trenera Sebesa, którego w tym celu specjalnie wysłano do Madrytu. Na mecz oldbojów, oprócz 65 tys. widzów, przysłała całą partyną wierchuszka z Janosem Kadarem na czele!

Od tego momentu Puskás systematycznie przyjeżdżał do kraju na wakacje, kupił dom w Budapeszcie, a w 1992 roku z rodziną już na stałe wrócił do ojczyzny. Umarł 16 listopada 2006 roku na niewydolność układu oddechowego i krążenia. W dzień jego pogrzebu została ogłoszona żałoba narodowa. Żegnało go ponad 100 tysięcy kibiców. A dawnemu socjalistycznemu Nepszadionowi, nazwanemu po transformacji Narodowym, nadano jego imię.

Tadeusz Olszański, Warszawa

Ferenc Puskás (właśc. Ferenc Purczeld, ur. 1 kwietnia 1927 r., zm. 16 listopada 2006 r.) - węgierski piłkarz, pseudonim „Galopujący Major”, napastnik. W reprezentacji Węgier (1945 - 1956) wystąpił 85 razy, strzelając 84 gole. W reprezentacji Hiszpanii (1961-1962) wystąpił 4 razy, nie zdobywając ani jednego gola. Mistrz olimpijski (1952), wicemistrz świata (1954), mistrz Węgier (1950, 1952, 1954 i 1955) - z Honvedem Budapeszt. Zdobywca Pucharu Europejskich Mistrzów Krajowych (1959, 1960 i 1966), Pucharu Interkontynentalnego (1960), mistrz Hiszpanii (1961-1965), zdobywca Pucharu Hiszpanii (1962) z Realem Madryt. (T.O.)



Pomnik Powstańców Warszawy nie był hołubiony przez władze, ale mieszkańcy o nim pamiętali. Spontanicznie każdego roku w rocznicę Powstania o godzinie 17 spotykali się na skwerze przy pomniku. Tak było i teraz, 1 sierpnia 1983 roku

Chłopcy jak stal

Aniela z Niegrzybowski i Kazimierz - małżeństwo Dąbrowscy z dziećmi Adą, Jankiem i Alą mieszkali w wynajętym mieszkaniu przy ulicy Swarzewskiej 82 na Bielanach w Warszawie. Kazimierz Dąbrowski pracował jako mechanik samochodowy w Komunikacji Miejskiej, jeździł ponadto pierwszymi warszawskimi autobusami.

Przedtem przez jakiś czas wspólnie z pierwszą żoną Marią prowadził sklepik spożywczy, a po jej śmierci do drugiego małżeństwa z Anielą Niegrzybowską, prócz córki Ady, wniósł bankructwo sklepiku uruchomionego z pieniędzy zarobionych w Ameryce przez pierwszą żonę. Dlatego wrócił z pokorą do zawodu mechanika. Z drugiego małżeństwa urodziło się dwoje dzieci, Alicja i Jan.

O weselu Kazimierza Dąbrowskiego z piękną dwudziestoczeroletnią panną Anielą Niegrzybowską z Kiełpina mieszkańcy wsi pamiętają do dziś, choć wesele odbyło się w 1935 roku.

- W marcu 2013 roku otrzymałem list od Zosi Balcerzak z Łomianek, córki Marianny Królik z domu Niegrzybowskiej, ciotecznej babci mojej Ali. Zosia opowiedziała mi w liście o rozmowie z dziewięćdziesięciodwuletnią Janiną Wyczółkowską z Ło-

mianek, która zapamiętała wesele Dąbrowskich i tak je opisała:

- Niegrzybowski mieli w Kiełpinie mały domek z kuchnią i jednym pokojem. Mieszkanie zupełnie się nie nadawało na urządzenie wesela. Dlatego Jan Niegrzybowski, ojciec panny młodej, wynajął dom w Łomiankach u pana Niegodziszka. Kiedy wyniesiono meble, weselnicy mogli bawić się w dwóch dużych izbach. Jednak na wesele nie zaproszono nikogo z Kiełpina, rodzinnej wsi panny młodej. Natomiast pan młody jechał z Warszawy z ulicy Swarzewskiej w kawalkadzie ukwieconych bryczek z orkiestrą na przodzie. W Kiełpinie do bryczki młodego wsiadła śliczna panna Aniela i orszak weselny ruszył z kopyta do kościoła w Łomiankach. Kiełpinianie z zachwytem i zazdrością obserwowali przejazd weselnego orszaku. Wielu pojechało za nimi do kościoła, po prostu z ciekawości, żeby zobaczyć, jak przystojniak z Warszawy ślubuje kiełpiniance.

- Och, jaki on był przystojny i do tego warszawiak - wspomina pani Janina. Nie wiedzieliśmy co podziwiać - pana młodego czy ukwiecone jak ogrody bryczki!

Tak, teść, którego nie poznałem, miał iście kawalerską fantazję - co z radością od-

krywam po latach. Nie dziwi zatem fakt, że jego losy, jak wielu warszawskich chłopców, wpisały się w powstańczą chwałę i tragedię.

Z najstarszą córką Adą pożegnał się w pierwszym dniu powstania i już jej nie zobaczył. Nie wiedział nawet, że odbyła szkolenie wojskowe, złożyła przysięgę i jako sanitariuszka oddziału na Bielanach poszła do powstania. Kiedy został ranny w powstaniu, ukrywał się jakiś czas u rodziny. Któregoś dnia w czasie łapanki na Żółtej aresztowano go i wywieziono do KL Dachau, następnie do obozu we Frankfurcie nad Menem. Został tam zamordowany i pogrzebany w zbiorowej mogile. Informację o jego śmierci z powodu gruźlicy, jak brzmiała oficjalna przyczyna, rodzina otrzymała wiele lat później.

Aniela Dąbrowska z domu Niegrzybowska chorowała przez całą okupację, lecząc się w domu i w szpitalach. Na czas jej choroby dzieci odesłano do Kiełpina, do dziadków - Marianny i Jana Niegrzybowski - rodziców Anieli. Wprawdzie gospodarstwo obłożone było, jak wszystkie, kontyngentami na rzecz okupanta, ale łatwiej było o żywność niż w Warszawie, a dzieci miały opiekę. Wiejskim zwycza-

jem dziadkowie próbowali włączyć dzieci do prac w gospodarstwie, cóż to jednak była za pomoc! Jak to miejskie dzieci, nawet nie potrafiły nazbierać na miedzach zielska dla świń. Była to przez całe lato codzienna praca, podstawa utrzymania trzody, więc każdy chwast był cenny i zbierali wszyscy.

Natomiast kłopotów z nimi było sporo. Któregoś dnia cięto słomę na sieczkę. Nikt nie zauważył małej Ali, a ona włożyła pod noże garść słomy razem z palcem. Krzyk dziecka postawił wszystkich na nogi. Palec wisiał na skórze. Pierwszej pomocy udzielił niemiecki żołnierz obsługujący działą ustawione za stodołą. Był studentem medycyny. Zajął się dziewczynką i uratował palec. Wkrótce Niemcy zajęli całe gospodarstwo, a rodzinę wywieziono pod Nowy Dwór Mazowiecki. Zamieszkali w kurniku, wprawdzie bez kur, ale z pchłami, których nie można było się pozbyć.

Do Kiełpina wrócili po wyzwoleniu. Dom był doszczętnie zrujnowany. Naprawili pospiesznie i prowizorycznie dach, urzą-

ny dokument „Dekret o odbudowie m.st. Warszawy”, powołujący Naczelną Radę Odbudowy pod przewodnictwem prezydenta Bieruta przyjęto 24 maja 1945 roku. Nadzieje i entuzjazm wyrażały się w nakazowym, lecz również spontanicznym udziale osób pracujących społecznie przy odgruzowywaniu, porządkowaniu, robotach budowlanych, brukarskich oraz wpłatach na utworzony w 1945 roku Społeczny Fundusz Odbudowy Stolicy.

Kiedy do Niegrzybowskich w Kiełpinie przychodził sołtys z nakazem wystawienia podwozy do odgruzowania Warszawy, wysłali także Janka Dąbrowskiego. Wybierał z gruzowiska cegły i układał na wozie. Pomagał jak mógł, także w gospodarstwie. Nauczył się kosić, obrządzać inwentarz, jednak nie widział siebie w roli gospodarza. Mimo to został u dziadków w Kiełpinie, którzy liczyli na jego pomoc w gospodarstwie. Chodził do szkoły w Łomiankach.

Któregoś dnia Janek przyniósł do domu zapalnik od granata znaleziony w lesie. Żelastwa więcej było niż grzybów, a jego wszystko ciekawiło. Dorośli byli zajęci w polu czy obejściu, a on, gotowy na eksperyment, włożył zapalnik do kuchennego paleniska. Z kuchni nie zostało nic, a chłopca znaleziono w kącie z postrzępionym brzuchem i poszarpanymi rękoma. Ada zawięła go w płócienne prześcieradło, dziadek pospiesznie zaprzęgał konie i wiozł go do szpitala na Bielanach. Miał chłopak szczęście! Zostały blizny, zniekształcone dłonie i naučka na całe życie. Coś jednak jest w ludzkim losie z przeznaczenia, które ostrzega, jak w powiedzeniu do trzech razy.

Po śmierci Anieli Dąbrowskiej najmłodszą, jej córką Alicją na krotko zaopiekowała się ciotka Maria Niegrzybowska z Warszawy. Zabrała dziewczynkę ze sobą i zapisała ją do pierwszej klasy szkoły powszechnej u sióstr zakonnych w Warszawie.

Lata minęły od tamtych zdarzeń. Świętujemy rocznice, w rodzinnych albumach przechowujemy stare fotografie jak pamięć na dodatkowym dysku. Zdarza się jednak, że przeszłość wraca w najmniej oczekiwanym sposobie. Tak było i tym razem.

Od dawna nosiłem się z myślą przygotowania albumu fotograficznego obejmującego cały wiek XX, którego bohaterem byłoby dziecko. Wcześniej w prasie lokalnej, ale także w ogólnopolskiej (Nowa Wieś) publikowano moje fotografie z dziecięcymi bohaterami. Poza tym inspi-



Fot. Archiwum J. Maziejuka



Fot. Archiwum J. Maziejuka

dzono jakoś pokój i kuchnię, byleby był kąć, choćby dla chorej Anieli, która z Warszawy przeniosła się do rodziców, by być bliżej dzieci. Była bardzo chora. Sama w mieście nie dałaby sobie rady, a wiadomość o śmierci Kazimierza ostatecznie pogrzyła ją w smutku. Aniela Dąbrowska zmarła 5 sierpnia 1945 roku. Rodzinne tragedie, a było ich wiele, spletały się z nadziejami. Skończyła się wojna, nastał czas odbudowy. Pierwsze jej hasło „Cały naród buduje swoją stolicę” powtarzali wszyscy, a oficjal-

rowałem się wydanym w 1979 roku przez Krajową Agencję Wydawniczą albumem „Dziecko w malarstwie polskim”, przedstawiającym portrety dzieci, sceny rodzajowe z ich udziałem - od „Portretu Tomasza Zamoyskiego”, nieznanego malarza do obrazów współczesnych, na przykład Marii Urban - Mieszkowskiej „Kołysanka” z 1973 roku. Zbierałem zdjęcia wśród znajomych, kupowałem na jarmarkach staroci, penetrowałem stoiska podczas corocznego Jarmarku Gryfitów w Słupsku. Moje plany znał brat Henryk, który podobnie jak ja w Słupsku, odwiedzał warszawskie pchle targi. Zebrane zdjęcia reprodukowałem, wykonując odbitki formatu 18/24. Miałem ich sporo, były powodem mojej dumy i zmartwienia. Nie mogłem wszystkich pomieścić w albumie, trzeba było dokonać selekcji, wyboru, najlepiej według jakiegoś dodatkowego klucza.

W tym czasie odwiedziła nas szwagierka Ada Domin. Pokazałem jej zbiory, zwierając się z kłopotu. Razem przeglądałyśmy zdjęcia.

- Niemożliwe! - krzyknęła. - Janek, skąd masz to zdjęcie? - pytała zdumiona.

Zdjęcie przedstawiało dwoje dzieci - dziewięcioletniego chłopca i kilkuletnią dziewczynkę w ludowym stroju. Opowie-

działem jej o zakupach zdjęć przeze mnie i Henryka. To pochodziło z warszawskich zakupów Henryka.

- Dzieciństwo mojego ojca, Kazimierza Dąbrowskiego i dziewczynki w krakowskim serdaczku - jego siostry, czyli mojej cioci Ireny, zakupione na pchlim targu? - dziwiła się ze smutkiem Ada.

- Taka sama fotografia była w naszym rodzinnym albumie w domu przy ulicy Swarzewskiej 82 na Bielanach w Warszawie. Została zrobiona w 1911 lub 1912 roku w zakładzie fotograficznym w Warszawie. Widziałam ją po raz ostatni w 1944 roku, kiedy szłam do powstania. Ciocia Irena nie żyła od 1931 roku, zmarła podczas porodu, a historię taty pewnie nieraz opowiadała ci Ala - mówiła Ada.



Fot. J. Maziejuk

Nigdy nie poznałem teścia. Ala, moja żona, opowiadała mi, jak przepadł w 1944 roku jako powstaniec schwytyany na ulicy Żłotej, a rodzina miała jedynie niepotwierdzoną wiadomość, że był w Dachau. Dopiero w 1985 roku przyszła z Czerwonego Krzyża oficjalna informacja, że Kazimierz Dąbrowski zmarł na gruźlicę w obozie w Dachau.

- Rozpoznaję ich, bo w cudem ocalałych zbiorach rodzinnych mam zdjęcie całej rodziny, zrobione prawdopodobnie w tym samym dniu i tym samym zakładzie fotograficznym - opowiadała dalej Ada.

- Kazimierz, nasz przyszły tato, jest w tym samym gimnazjalnym mundurku, a Irena w krakowskim stroju - mówiła Ada. Zdjęcie przedstawia całą rodzinę Dąbrowskich - Jana i Eleonorę Dąbrowskich z dziećmi: Kazimierzem, Jerzym, Ireną i Genowefą. Dziś żadna z tych osób nie żyje.

- Dziadek - patrz - wedle ówczesnej mody pod wąsem; był palaczem w fabryce Lilpopa, znanego producenta wagonów tramwajowych i kolejowych - z dumą wspominała moja szwagierka.

Opowieść Ady rozjaśniała rodzinne zagadki, ciekawe i bliskie sercu, tym bar-

dziej, że tak mało wiedzieliśmy o swoich rodzinach rozbitych wojną i sieroctwem.

- Dlaczego i dla kogo wykonano te fotografie - zastanawialiśmy się razem. Na pewno była jakaś szczególna okazja, ale możemy się tylko jej domyślać. W tamtych czasach wizyta u fotografa nie była przypadkowa, a zdjęcia wykonywano w bardzo szczególnych sytuacjach. Miały zupełnie inną wartość niż współczesne fotky pstrykane od niechcenia i wszędzie. Umówiliśmy się z Adą na rychłe ponowne spotkanie. Może uda się coś wyjaśnić.

Pomnik Powstańców Warszawskich odsłonięto w Słupsku 15 września 1945 roku z inicjatywy ponad tysiąca warszawia-

pomnika kierowało się uformowane czoło pochodu.

- Stefan Korejwo i Janusz Łądzin nieśli wieniec. Za nimi Henryk Grzędzielski z synkiem i kimś jeszcze nieśli transparent z napisem „Famarol”, wykonanym liternictwem takim, jak nielegalna „Solidarność”. Dalej młodzież, ludzie z dziećmi na rękę, starsi. Kiedy złożyli wieniec, Henryk Grzędzielski z synkiem i Stefan Korejwo stanęli z transparentem przy pomniku. Zabrzmiły słowa hymnu, wszyscy unieśli prawą rękę z dłonią ułożoną w znak zwycięstwa. Małec także. Było coś niesamowicie podniosłego w postawie pięciolatka i, co tu mówić, wśród wszystkich uczestników zdarzenia. Robiłem zdjęcia bez przeszkód. Natychmiast w redakcyjnym laboratorium wywołałem film i zrobiłem odbitki. Negatyw ukryłem w szafce redaktora Martychewicza. Serwis przekazałem naczelnemu, informując, że nic więcej nie mam, a negatyw zniszczyłem.

- Chłopie, zachowaj to w tajemnicy - poradził mi Wiesław. Nie przypuszczaliśmy, by zdjęcia mogły pójść w naszym tygodniku. Znów zaproszono mnie do KMMO i wypytano o negatyw. Powtórzyłem - negatyw zniszczyłem, zawsze tak robię. Nie wiem czy uwierzyli.

Znów minęły lata, wieczność cała, bo zmieniło się wszystko. Co było niemożliwe, faktem się stało. Publikowanym i dostępnym.

Czytam na stronie 223. publikacji z 2011 roku - Igora Hałagidy - „NSZZ „Solidarność” Regionu Słupskiego (1980 - 1990) tom 2: dokumenty Komitetu Wojewódzkiego PZPR i Służby Bezpieczeństwa”: „O godz. 17.00 w kościele Mariackim odprawiona została msza zamówiona przez kilku pracowników Fabryki Maszyn Rolniczych „Agromet-Famarol” w Słupsku w intencji Powstańców Warszawy. Po mszy około 60 osób zebrało się przed kościołem, pomaszzerowało na pl. Powstańców pod pomnik Powstańców Warszawy. Ww. grupa w czasie przemarszu rozwinęła transparent z napisem „Famarol”, a pod pomnikiem złożyła dwa wieńce, na których stwierdzono dwie szarfy. Na białej szarfy widniał czerwony napis: „Solidarność Słupska”, a na biało-czerwonej czarny napis: „Solidarność Region Słupski”. Szarfy te usunięto i zabezpieczono. Wśród obecnych rozpoznano M[irosława] Pająka (...), Stefana Korejwę (...), Henryka Grzędzielskiego (...).” Notatka datowana: 1984 sierpień 3.

W tym roku jak zawsze słupszczanie spotkają się przy pomniku Powstańców Warszawskich. Mam nadzieję, że poza zwykłą prasową informacją nikt nie będzie tworzył tajnych raportów. I to jest prawdziwe zwycięstwo „chłopców ze stali”, którzy w 1944 na powstańczych barykadach rozpoczęli naszą „drogę do wolności”

**Zapisała: Czesława Długoszek
Objazda**

ków zamieszkałych w mieście. Bezpośrednim impulsem stało się rozstrzelanie przez Niemców w dniu 7 marca 1945 roku dwudziestu dwóch Polaków, głównie byłych powstańców i dwóch Rosjan. Wtedy zawiązała się szesnastoosobowa grupa inicjatywna z Edwardem Ładą - Cybulskim jako przewodniczącym budowy. Pomnik wrastał w historię i tradycję miasta.

- Nie, nie był hołubiony przez władze, ale mieszkańcy o nim pamiętali. Spontanicznie każdego roku w rocznicę Powstania o godzinie 17 spotykali się na skwerze przy pomniku. Tak było i teraz, 1 sierpnia 1983 roku.

- Oczywiście że tam byłem! Z powodów osobistych i zawodowych. Mój teść, powstaniec, zginął w Dachau, szwagierka była sanitariuszką na Bielanach. Byłem też z powodów zawodowych. Nie wyobrażałem sobie, by jakieś zdarzenie z życia miasta umknęło mojemu obiektywowi. Musiałem tam być. Spontaniczna, niemal rodzinna manifestacja dobiegała końca. Złożono kwiaty, ludzie się rozchodzili. Z zawodowej zasady wychodzę ostatni, dlatego byłem jeszcze na skwerze. Wtedy od strony ulicy Szarych Szeregów w kierunku

Cud niepamięci, czyli zespół otępienny

Gdyby cierpienie cokolwiek wносиło do ludzkości - Polska byłaby krajem wiecznej szczęśliwości! Na pocieszenie, nikt jednak nie dostanie cierpienia większego niż unieść zdoła

„Antyk - wariat” ze mnie. Spoglądając nostalgicznie (ale bez zazdrości) ze wzgórka osiedla „Piastów” w kierunku Doliny Charlotty nadziwić się nie mogę, że wszyscy pochodzimy z tej samej polskiej ziemi. W każdej wiejskiej, czy miejskiej kuchni widniała kiedyś makatka z przesłaniem ludowym: „Jedność i zgoda - domu ozdoba” albo „Zgoda buduje - niezgoda rujnuje”, czy „Dobra żona tym się chlubi, że gotuje co mąż lubi”. To wystarczało, żeby pamiętać o tak oczywistych zasadach - priorytetach rodzinnego i obywatelskiego współistnienia. Wszyscy prawie pochodzimy z roli, bo znaleźliśmy swoją „rolę”. Ze względów oczywistych (kompleksy) „wzięliśmy sprawy w swoje ręce”, o głowie oczywiście zapominając. Dziś każdy jest - politykiem, ekonomistą, religioznawcą czy pedagogiem jednocześnie. Wiedza bazarowa jest w kapitalizmie szczególnie potrzebna! Oto ich nowa „rola”, którą eksperymentalnie będą „uprawiać”. Pewnie są zdania, że płynie w nich senatorska i książęca krew, więc „hulaj dusza - piekła nie ma”. Kiedyś Polska rzeczywiście podzielona była pomiędzy arystokrację, często tego samego rodu. Po wojnie (aż do dziś) zarządzają krajem ludzie hołdujący dominującej partii. Teraz herbem jest logo ugrupowania. Szczególnie po 1989 roku obywatele wykazali osobliwą kreatywność. Wszyscy wiedzieli jak dzielić państwowy majątek, ale mało kto wiedział (i wie) jak ten majątek pomnożyć!!!

Na wyposażeniu mają: mieszkanie, samochód i - ewentualnie dziecko - dziewczynkę lub chłopca. Z nawyku tylko (odruch bezwarunkowy) należą do Związku Działkowców, walcząc o legalizację w mieście działek. Ich nieliczne dzieci też walczą o „działki” i ich legalizację. Też mają swoje ulubione „ziola”. Powrócił „raj utracony”, jak w II RP. Proletariat i chłopstwo znów są (jak wtedy) na ekologicznej „zielonej trawce”, a ich dzieci - wykorzystując osiągnięte zdobycze ustrojowe - aż zachłystują się „trawką”. (Kierunek ten sam, tylko zwroty różne). Jednomyslnie za to oczekują zagranicznych inwestorów, żeby dali im „godną” pracę. Ale nie jest źle - „Ciepła woda w kranie, ładne buzie na ekranie”. Żyć nie umierać!

Dlaczego dzieci - nawet w piaskownicy - potrafią się porozumieć, a dorośli nie? Bo dzieci nie nauczyły się jeszcze kłamać. Umiejętność tę nabeżdżą naśladowując wzór rodziców, kiedy to „język kłamie głosowi, a głos myślom kłamie”. Dziecko tego nie potrafi. Przedmoralnie, przedgrzesznie i naturalnie informuje ono, że ma na przykład dwie mamusi lub dwóch tatusiów. Albo, że wujek jest głupi. Albo, że ciocia (zdaniem mamy) to wszędzie nos wsadzi. (Spytało się nawet, czy do kałamarza też?). Albo, że mama (dla czytelnej identyfikacji) zwraca się do swych dzieci wyłącznie po nazwisku. O kolejnych ciciach i wujkach - dopiero się dowiadują z wiekiem.

Czy kto widział - pytam - żeby dorosłe dzieci udzielały podobnie szczerych informacji? Też jestem dzieckiem swoich rodziców, ale takiej hipokryzji nie znam wcześniej. Nawet w poprzednim ustroju partyjniacy musieli się „samobiczować” publicznie na zebraniach partyjnych. Były to oczywiście udawane skruchy i kary, podobnie jak dziś - udawane skruchy i pokuty. W każdym prawie przypadku „wyrzekała się żaba błota”. Uważam jednak, że indywidualna spowiedź ma swoje zalety, bo zawiera „ochronę danych osobowych”, czego (w życiu!) nie zagwarantuje na przykład milicja, policja, straż miejska czy fotoradary (razem wzięte).

Nie oskarżam kogokolwiek (siebie także), bo żyjemy w „cywilizacji miłości”, dopełnionej „moralnością pani Dulskiej”. Obserwując ludzi (i siebie) przyznać muszę, że nie bardzo wierzę w sakramentalne małżeństwa, chyba że mają



wszyscy wiedzieli jak dzielić państwowy majątek, ale mało kto wiedział (i wie) jak ten majątek pomnożyć

one dyskusyjny wymiar tzw. „białych małżeństw”. Ale nawet z tak legalnego źródła dzieci nie będzie, bo „czystość” to nie „miłość” jeszcze. (Pomimo to uważam, że czysta wódka i czysta kobieta stwarzają okazję do miłości). Zdarzają się oczywiście impotenci, ale tylko w stosunku do własnej żony! One też bywają oziębłe, ale tylko wobec własnych mężów! Swoje „gorzkie żale” wyśpiewują potem w samotności, choćby: „Żałuję, że cię znałam. Żałuję, że kochałam...” „W każdym razie „kocha się raz, potem drugi, i trzeci, i znów”. Znamy to wszyscy, nie tylko z nucia tych popularnych piosenek.

Kłopot w tym, że w kraju tak religijnym uderza gasnący przyrost naturalny. Należy pod tym względem do światowej czołówki (licząc od końca). Zajmujemy honorowe 211 miejsc!

Za to na
Za-

z życiem? Wątpliwości jest więcej. Dlaczego datujemy czas i miejsce urodzin a nie czas i miejsce poczęcia? Czy kiedy umiera człowiek - to on odchodzi, czy my coś i kogoś tracimy? Co to znaczy „śmierć naturalna” i jakiego wieku dotyczy? Niepewność życia, spowodowana tak perfidną interpretacją śmierci, stała się już groteską. Ten nonsens trwa. Czcieli i powielaczy tego bezmyślnego sformułowania - bez względu na rodzaj i kolor munduru politycznego - chętnie oduczę. Znam sposób: jak kopnę barana w d. - odejdzie owieczką!. Wiem, że i tak nie pojmą swej głupoty, ale chociaż noga się ucieszy, i sumienie.

Mamy w kraju - zdaniem katolickich mediów - od osiemdziesięciu do stu tysięcy zamrożonych dzieci (zarodków). Sam się chętnie dam zamrozić, żeby kogoś zainteresowało moje życie. Oj, długo mi przyjdzie czekać na odmrożenie, bo parafianie swoje odmrażacze stosują wyłącznie do szyb samochodowych. I mało ich obchodzi, ile osób zostało zamrożonych na przykład z powodu bezdomności! (Jak dobrze, że żyłem w innych czasach. Wiem co to rodzina, dziewczyna, nauka, praca, dzieci, LWP i Ojczyzna).

Metody antykoncepcyjne, szczególnie te „naturalne”, także zaliczyć trzeba do podszytych fałszem i hipokryzją. No bo na czym właściwie polega wstrzemięźliwość? A na czym rzekoma miłość dwojga ludzi? Na kalendarzyku? Na „nowych technologiach”? Przetwarzają tylko narody wielodzietne, choć ubogie socjalnie. To ich majątek! A u nas? „Na swoim łożu nieprawość knują” - że posłużę się cytatem modlitewnym - bo cięża, to dla nich kara boska. Ludzkie embriony po urodzeniu nie są już tak modnym tematem, a zainteresowanie nimi spada. (Eksmisje z mieszkań na bruk dotyczą także dzieci). Szczególnie dzieci z dysfunkcjami, które (nie z własnej przecież winy) wymagają opieki przez całe swoje cierpiętnicze życie. Myślę (z przekonaniem uczciwego człowieka), że gdyby cierpienie cokolwiek wносиło do ludzkości - Polska byłaby krajem wiecznej szczęśliwości! (Na pocieszenie tylko zapewnię, że nikt jednak nie dostanie cierpienia większego niż unieść zdoła. A jak nie zdoła? Wtedy jakiś szubrawiec nazwie to „śmiercią naturalną”).

Wiem już, że osiągnięta wolność i demokracja wymaga kompromisu. Kompromis jednak nie zadawała żadnej ze stron. Jak to właściwie jest? Szukamy prawdy czy kompromisu? Jedyne prawda, to że „na dwoje babka wróżyła”. To mądra babka, bo nie zna nowych technologii w 3D. Mogą jej pozazdrościć współczesne modne bab-

ki studiujące na Uniwersytetach Trzeciego Wieku, choć ich wiek też należałoby datować metodą C-14. (węglową). Nawet program TV „Kawa czy herbata” jest alternatywnie tytułowany. Należałoby się wreszcie zdecydować - mówi profesor Bralczyk - kawa, czy herbata?

Pytam więc retorycznie: i jak, i kto ma dziś „odnowić oblicze ziemi. Tej ziemi”? Duch Święty? „Po owocach mnie poznacie” - chciałoby się powiedzieć. Dawniej wielodzietność była naturalną konsekwencją każdego małżeństwa, choć wynikała bardziej z przypadku, a nie świadomej decyzji. Wszystkie jednak były kochane, choć nie starczało czasu na dzieciństwo. Każde dziecko musiało współpracować i pomagać rodzicom na miarę swoich możliwości. Często ponad miarę swych możliwości. Dziecko istniało od zawsze, ale dzieciństwo od niedawna.

A dziś? Nieznane wcześniej „dzieciństwo” jest priorytetem wychowania obecnego nielicznego potomstwa. Fajniutko, bo ich dzieciństwo jest przedłużone. Często do pełnoletniości. Jeżeli już wypływają „na głębiej”, to „cyfrowego” morza. (Kochane to dzieci. Dobrze, że nie moje.) Zdumiewająca dziś troska o szczęśliwe dzieciństwo współcześnie urodzonych - napawa mnie lękiem. (Bezstresowe wychowanie, to stresowe zachowanie w dorosłym życiu i nie uchroni ich przed depresją nawet kordon policji). „Duże dzieci” wykazują więcej inicjatyw opiekuńczych niż mają potomstwa. Ich owocem miłości są innowacyjne pomysły. Są zwolennikami tzw. szkół demokratycznych, w których dzieci realizować się będą w zależności do swoich potrzeb. Na przykład jedne chętnie będą uczestniczyły w lekcjach, inne uznają, że będą czytały książkę, a jeszcze inne będą zdobywały wiedzę poprzez rozmowę. Wkrótce też czteroletnie dzieci zostaną objęte edukacją seksualną, by po dziewiątym roku życia uczyły się rozpoznawać doznania erotyczne. Czuwa już nad tym Światowa Organizacja Zdrowia.

Zmartwienia troskliwych rodziców są jeszcze bardziej „demokratyczne”. A to, żeby pluszaczek (zabawka) nie miał ostrych kantów, a to żeby organizować referendum odnośnie wieku szkolnego, a to dowożenie taksówkami i samochodami do szkół i przedszkoli, a to utrzymywanie nierenownych placówek (choć w klasie jest tylko czworo uczniów). Już dziś co czwarty nauczyciel jest bez pracy, pomimo że na jednego zatrudnionego nauczyciela przypada najmniej dzieci w Europie. Popularne stały się jarmarczne protesty niegodzenia się w przekształcenie państwowych (publicz-

i jak, i kto ma dziś odnowić oblicze ziemi?

chodzie płodzimy prawie trzy razy dzieci więcej. To się lepiej opłaca! Zastanawiam się w związku z tym, czy my dzieci bardziej kochamy, czy pieniądze? Gdyby nasi rodzice tak kapitalistycznie kalkulowali - nie byłoby w Ojczyźnie bardzo wielu osób. Nie byłoby też mnie, brata i siostry. Nie wiedziałbym nigdy jak wygląda i myśli prawdziwy katolik. Właściwie to nadal nie wiem, bo nie rozumiem nowych technologii, na przykład w „3D” czy w „HD”.

Żyjemy w czasach ekshibicjonalizmu medialnego. Wygłaszamy swoje „za i przeciw” na temat In vitro, aborcji, eutanazji, związków partnerskich, i czy zarodek jest „czymś”, czy „kimś”? Czy o prawo do życia chodzi, czy tylko o prawo do narodzin? A co



nów przydatności zakupionych produktów żywnościowych, terminów protestów, pielgrzymek (tylko w kraju jest około pięćset sanktuariów), a nawet mieć wpływ na godziny pracy supermarketów w niedziele. Na pogodę - też! Zresztą, coś trzeba robić, skoro wypadło się ze swej „roli” i jest się tylko hermetycznym „słoikiem” z osiedlowej spiżarni.

Pożytek ze słoików jest niewątpliwy i edukacyjno - ustrojowy. Kiedyś dociekany był mocną, stalową sprężyną. Dziś, szczególnie typu „twist”, ma aż dwie funkcje: „open” i „close”. Wolna wola!

Na pociechę podzielię się radiowym dowcipem, świetnie obrazującym solidarnie odniesiony sukces ustrojowy. (Solidarność moja z „Ziomalami” w sferze humoru jest bezgranicznie wielka.)

Rozmawiają dwaj przedsiębiorcy. (Oczywiście - prywatni, i prywatnie). - Ty płacisz regularnie swoim pracownikom? Bo ja od miesiąca im nie zapłaciłem. - Coś ty!, już od miesiąca im nie płacę. - I przychodzą do roboty? - Tak, przychodzą! - To może wprowadźmy im „wejściówki”?!?!

Mój znajomy - aspirant do konsumpcji wolnościowych i prywatyzacyjnych zdo-

byczy („amator na kwaśne jabłka”) wygłosił olśniewającą go sentencję: „Cztery konie w cugu i od ch... długu”! Nie potrafiąc odróżnić przyczyny od skutku, nawet dziś mędrkował: „Ona tyra, on haruje - a pieniędzy wciąż brakuje”. Tym sposobem z chłopca i robotnika przepoczwarzył się w człowieka sukcesu, został poetą ludowym i to na terenie całej Unii.

Ponieważ kapitalizm polega na wyzysku (czego ten cymbał nie wziął w kalkulację) nagrodiłem go za te poetycko - folkowe myśli „uśmieszka” i oczywiście „żółwikiem”. Niech też coś ma! Gdyby ten „cymbał brzmiały” czytał Mickiewicza, to by wiedział, że „Było cymbalistów wielu / Ale żaden nie śmiał zagrać przy Jankielu...” W związku z tym doradzam: może warto też ruszyć głową, a nie tylko d... !?

Rusząc już wyłącznie głową, dawno zauważyłem „szron” na moich włosach. („Bielszy odcień bieli”). Nie mam ich wiele, ale jak coś jest piękne, to nie może być tego dużo. Jestem wreszcie wolny i szczęśliwy! Mając anielską cierpliwość wobec bliźnich z pewnością dołączę niedługo do grona aniołów. Kończę już, bo jest piękna pogoda na szczęście. W związku z tym do psychiatry to ja się chyba przelecę.

Klemens Rudowski, Słupsk

nych) szkół w społeczne. (Bo ich nie stać). A stać było rodziców na dążenie do prywatyzacji? W dodatku państwowego mienia? Trzeba teraz płacić za ten „grzech pierworodny”. „Ekonomia - głupcze”, więc za ubóstwo umysłowe trzeba płacić najwięcej. Nawet o tym „co jest grane” decydują księgowi. Miłej zabawy!

Tylko „smutno mi Boże”, dlaczego ci nobilitowani mieszczenie pominieli troskę o wiejskie dzieci: czy woda w studni nie wymaga podgrzania, czy ciężar wiader (zabawek) nie przekracza ciężaru dziecka, czy rąbane przez nich drewno na opał ma bezpiecznie zaokrąglone kanty (i siekiera), czy droga do szkoły nie jest „drogą przez mękę”? Ta „polityka miłości” dzieli dzieci na lepsze i gorsze. „I wioska, i miasto to jeden nasz świat? I wszędzie dziecino - twa siostra, twój brat”? Ej, „słoiczki”! Pożałujeta, bo o sobie tylko myślała! Uwaga ta dotyczy też byłego proletariatu, choć sojusz robotniczo - chłopski (solidarność) należy dziś między bajki włożyć. Każdy sobie rzepkę skrobie. Póki co - adekwatnie - posyłam im „uśmieszka” i przybijam „żółwika”. Nadal bądźcie jako te dzieci, bez dzieci. (Oj, dzieci, dzieci). „Angelizacja” z jednej, i „demokracja” z drugiej strony spowoduje, że nie trzeba będzie też czytać nawet Dostojewskiego. Ja trzymając rękę (już tylko) na pulsie i oczekując emeryturki (tzw. „wstydlwego”, bo jestem wykluczony „cyfrowo”) nucę ulubiony refren: „Niech ktoś zatrzyma wreszcie świat - ja wysiadam (...) Jak w kołowrotku bezwolnie się kręcę, gubiąc noce i dni”. Jestem już tak zdezorientowany, że kiedy osiedlowy biznesmen (z „szarej strefy” i w nieoświetlonej strefie) postawił mi ultimatum: „Pieniądze, albo życie!”, ze stoickim spokojem spytałem: „A co mi pan radzi?”

Wy - uświęceni sakramentem chrztu, bierzmowania, ślubu kościelnego (i stu innych miłosnych obietnic) zawsze jednak będziecie mogli przejawiać społeczną inicjatywę odnośnie: kontroli jakości środków antykoncepcyjnych, kontroli poczęcia i ojcostwa, kontroli urodzin, kontroli termi-

Jak oceniam pracę urzędników?

W trosce o stałe podnoszenie jakości pracy Starostwa Powiatowego w Słupsku w kolejnych wydaniach biuletynu „Powiatu Słupskiego” drukować będziemy ankietę na temat pracy urzędu i zadowolenia mieszkańców powiatu z jego usług. Zachęcamy do wypełnienia poniższej anonimowej анкеты, wśród wszystkich osób, które ją nadesłają i wypełnią

oddzielny dołączony do niej kupon, losować będziemy rzeczowe upominki. Wszystkie sprostowania, opinie, uwagi i wnioski zostaną przeanalizowane i posłużą do dalszego doskonalenia jakości pracy starostwa i usług publicznych oferowanych mieszkańcom powiatu. Wypełnione ankietę i oddzielnie kupony biorące udział w losowaniu upominków można składać do specjalnych, oznaczonych napisem „ANKIETA” i „KUPONY” skrzynek w budynku Starostwa Powiatowego lub przesać drogą pocztową na adres: **Starostwo Powiatowe, 76-200 Słupsk, ul. Szarych Szeregów 14.** Ankietę można też wypełnić na stronie www.powiat.slupsk.pl

Wypełnione ankietę i oddzielnie kupony biorące udział w losowaniu upominków można składać do specjalnych, oznaczonych napisem „ANKIETA” i „KUPONY” skrzynek w budynku Starostwa Powiatowego lub przesać drogą pocztową na adres: **Starostwo Powiatowe, 76-200 Słupsk, ul. Szarych Szeregów 14.** Ankietę można też wypełnić na stronie www.powiat.slupsk.pl

ANKIETA OCENY USŁUG ŚWIADCZONYCH PRZEZ STAROSTWO POWIATOWE W SŁUPSKU

1. Kiedy ostatnio załatwiał/a/ Pani/Pan sprawę w Starostwie Powiatowym w Słupsku?
2. Jak ocenia Pani/Pan sposób załatwienia sprawy, kompetencje urzędników itp.?
3. Jak ocenia Pan/Pani ogólnie poziom usług świadczonych przez starostwo?
4. Czy uważa Pani/Pan, że Starostwo Powiatowe jest instytucją przyjazną mieszkańcom powiatu słupskiego?
5. Co według Pani/Pana należałoby zmienić w funkcjonowaniu pracy starostwa?
6. Czy poruszanie się po budynku starostwa sprawiło Pani/Panu jakiegokolwiek trudności? Jeśli tak, to jakie?

Proszę odciąć kupon i przesać lub przekazać w oddzielnie zaklejonej kopercie

KUPON UPRAWNIAJĄCY DO WZIĘCIA UDZIAŁU W LOSOWANIU UPOMINKU - NIESPODZIANKI W ZWIĄZKU Z WYRAŻENIEM OPINIÍ NA TEMAT PRACY STAROSTWA POWIATOWEGO W SŁUPSKU

Imię i Nazwisko

Adres, na który należy przesać upominek

Wyrażam zgodę na wykorzystanie moich danych osobowych w celach związanych z losowaniem upominku.

(Data i podpis wypełniającego kupon)

Wakacyjne oferty PTTK



Fot. A. Wróblewski

Lato w pełni, jak co roku więc kalendarz imprez słupskich petetekowców dostownie pęka w szwach. Chyba każdy pasjonat „wędrowek w nieznanie” znajdzie tam interesującą ofertę turystyczno-krajo- (ściśle: regiono)znawczą

- W pierwszym rządzie - konstatuje szef Oddziału PTTK, Janusz Grabowski - hobbisci wodniactwa. Ale - nie tylko. Również miłośnicy „rajdów per pedes”. Garść przykładów? Służę nimi.

Lipiec. 3 - 8: „Wakacyjna włóczęga” członków i sympatyków Klubu Turystyki Pieszwej trasą Gwda Mała (okolice Czarnego, 15 km od Szczecinka) - Miastko. Także na początku miesiąca: tygodniowy spływ kajakowy z biegiem Słupi, a trochę później, od 20 - podobny rejs rzeką Drawą w Koszalińskim (org. KTK Kapok). 15 - 25: „Wędrowny obóz na Pojezierzu Bytowskim z Młodzieżowym Klubem Spokojny Leszcz”. 25 - 27: „Tropem św. Jakuba od Gdańska przez Mechowo do Lęborka”; nb. stamtąd zaś od Łeby do... Santiago

de Campostela w północno-zachodniej Hiszpanii, gdzie prowadzi sięgający XII w. pątniczny szlak sanktuarium ku czci Apostoła (org. Lęborskie Koło Turystyki kwalifikowanej; uczestniczą - oprócz Polaków - Niemcy, Litwini, Łotysze).

Sierpień. 3 - 4: dwudniowa eskapada kajakowa po rzece Kamienicy - dopływie Łupawy w gm. Trzebielino (org. Kapok) i o tydzień dłuższa, bo trwająca aż do 10, przeprawa przez Brdę (współ z jej „pilotem” - miasteczką Salamandrą).

Jest w czym wybierać? Więcej informacji, zapisy, ewentualne przedpłaty (z reguły „groszowe”) - w biurze Towarzystwa (ul. Szarych Szeregów 1, tel. 59 842 50 12 lub 59 842 29 02, e-mail: poczta@slupsk.pttk.pl). (jel)

Na skalistym brzegu widzę pojedyncze sylwetki ludzi, na drugim planie zabudowania w stylu kolonialnym: trochę bloków a la budynki PGR-owskie w kraju, pojedyncze domki, w ciągu ulicy okazałe budynki, prawdopodobnie administracyjne. Pastelowy kolor ścian współgra z kolorem pni palm, których wachlarze koron pochylone są w jednym kierunku, jakby pod wpływem wiatru. Na elewacjach urzędowych widać ciemne smugi, to pozostałości po ogniu i dymie; lornetką wyłuskałem po przeciwnej stronie portu bazę wojskową US NAVY.

Ślady po pożarach w mieście, przynajmniej te widoczne od strony portu, potwierdziły amerykańską zbrojną interwencję, podczas której w 1989 roku obalony został panamski polityk i generał, dyktator w latach 1983 - 1989 Manuel Antonio Noriega. Schwytany i więziony w USA w 1992 roku, skazany na czterdzieści lat więzienia m.in. za handel narkotykami.

Te wrażenia wynotowałem z listu pisanego do domu „na gorąco”, listy miał zabrać z portu „rusek”, ale wyszedł wcześniej na Europę. Cała korespondencja do kraju miała być przesłana dopiero z Vancouver, co oczywiście mocno podenerwowało załogę statku i mnie.

Skąd ja w Panamie? Jednostka B-673 m/t „Homar”, to drugi z serii trzech statków łowczych (po m/t „Langusta” i m/t „Foka” jeszcze w budowie) w inauguracyjnym rejsie od 4 marca 1990 roku ze Świnoujścia na łowisko na Morzu Beringa. Wymyśliłem sobie, że jako inspektor nadzoru pilotujący eksploatacyjnie i remontowo trzy nowoczesne jednostki rybackie najlepiej je poznam na statku, oczywiście w zgodzie z procedurami i strukturą zatrudnieniową obowiązującą we flocie, na samym dole tej struktury jako młodszy motorzysta w wachcie III mechanika.

Poza typową robotą wachtową miałem okazję zajrzeć „w każdą dziurę” i zarejestrować nie tylko miana i parametry wszystkich urządzeń, ale dziesiątki danych z tabliczek znamionowych różnych zespołów, podzespołów, sterowników, wskaźników, zaworów, etc. ze wszystkich systemów, bez których statek nie mógłby funkcjonować. W przyszłości konfrontacja takiego banku informacyjnego z dokumentacją pozwalała na szybką reakcję na potrzeby zgłaszane z łowisk, zamawianie i wysyłkę części na łowisko, dobre przygotowanie do przyszłego remontu.

Nie te czysto techniczne wspominki załoganta po dwudziestu trzech latach są tu najważniejsze. Nawet nie to, że sondując na wachcie zbiorniki olejowe z pokładów w godzinach 4 - 5 rano czułem się jak pirat. A jakże, to Morze Karaibskie: krótka, równa fala na autentycznie ciemnobłękitnej wodzie, a ja sam na pokładzie, wokół pusto. Gdzieś za horyzontem wyspy, po lewej burcie Puerto Rico (San Juan w oryginale), a po

24 marca 1990 roku, z końcem mojej wachty w maszynowni, statek wpłynął na redę, a stąd na kotwiczowisko w awanporcie San Cristobal w Panamie. O godz. 10.00 rzucamy kotwicę, po wachcie nie kładę się spać, a łażę po pokładzie. Przez lornetkę oglądam odległe miasto

Na bukanierskim (pirackim) szlaku

prawej republika Dominikana i Haiti (znana jako Hispaniola, a przez Kolumba nazwana ku czci swego ojca Wyspą San Domingo). A może statek przepływał akurat nad wrakami zatopionych niegdyś żaglowców hiszpańskich czy portugalskich?

Nawet nie to, że ww. wyspy wraz z Kubą wyznaczają na południu granicę „cmentarzyska Atlantyku” znanego jako „Diabelski Trójkąt”. Płynę przez część wód słynnego w dziejach żeglugi Morza Sargasowego, którego owiana lękiem i grozą legenda wyprzedziła o co najmniej kilka stuleci sławę „Trójkąta Bermudzkiego” - „Trójkąta strachu i innych regionów grozy”.

Niezwykłość Morza Sargasowego, którego nazwa wywodzi się od rodzaju wodorostu, znajdowała od niepamiętnych czasów wyraz w równie trwoźnych i budzących dreszcz co „Trójkąt Bermudzki” czy „Diabelski Trójkąt” nazwach: „Morze Strachu”, „Morze Zatracenia”, „Morze Straconych Statków” albo „Cmentarzysko zaginionych Statków”, „końskie Szerokości”.

Miałem szczęście, żaden piracki duch nie zgarnął mnie z pokładu. Na powierzchni wody nie widziałem sargasu, czyli gatunku glonu sargasowego (gronorostu czy brunatnicy), typowego dla mórz ciepłych, w których typowym okazem fauny jest pławikonik znany jako konik morski. Widziałem, choć śladowo, niestety, smugi posmółkowe i ropy naftowej wskutek działania prądów morskich, a nie wodorosty.

Intrygująca jest nie tylko historia i legenda o niezwykłości Morza Sargasowego, której dał początek w IV w. p.n.e. sam Arystoteles. Bliższą nam historię przypomniał aktor i reżyser Mel Gibson w filmie „Apocalipto”, przedstawiając własną wizję upadku cywilizacji Majów. W filmie pełnym brutalności, okrucieństwa, ofiar i krwi młody my-



Fot. J. Maziejuk

śliwy zostaje porwany, by zostać złożonym w ofierze Bogom. Przed utratą serca i głowy ratuje go zaćmienie słońca, skutecznie ucieka walcząc z wojownikami w dżungli. Z uratowaną z pogromu żoną i dziećmi staje na skraju dżungli i z brzegu morza widzi stojące na kotwicach okręty, a w szalupach płynących do brzegu obcych ludzi. Nie wita ich, z rodziną wybiera dżunglę i życie, które zna, a nie kontakt z przybyszami z innego świata. Mogli nimi być bardziej konkwistadorzy hiszpańscy lub portugalscy dokonujący po epoce wielkich odkryć geograficznych kolonizacji Nowego Świata niż karaibscy piraci.

Dopiero z czasem pojawiły się całe flotyle statków pirackich, których załogi czyhały na łatwe, bogate i pewne łupy. Ładowane zagranicznym złotem w portach Meksyku i Panamy galeony spotykały się zazwyczaj w Hawanie, skąd wyruszały na wody cieśniny Florydzkiej i kierowały się ku dalekim wybrzeżom Półwyspu Iberyjskiego. Siedliskiem karaibskich piratów, zwanych bukanierami, był słynny w XVI i XVII

wieku Port Royal na Jamajce, dokąd ściągano bajeczną fortunę i przepijano ją bez reszty w portowych tawernach. Port Royal cieszył się sławą największego wówczas na świecie gniazda rozpusty, za co, jak powiadano potem, spotkała go kara boska. Siódmego czerwca 1692 roku w wyniku potężnych wstrząsów dna morskiego rozstało się morze, a fale pochłonęły port piracki z całą przyległą doń dzielnicą rozkoszy. Ten „wyrok niebieski” nie osłabił jednak aktywności bukanierów, którzy przez następne dziesięciolecie kontrolowali wody Morza Karaibskiego.

Pomyśleć, że część przelotu współczesnego statku od Azorów do Panamy i przejście przez Kanał Panamski na Pacyfik w dniach 13 - 25 marca 1990 roku może być przyczynkiem do krótkiego opisu rejonu karaibskiego i piratów, zasługującego jednak na dokładniejszą relację dotyczącą na przykład „...prawdziwego opisu najbardziej pamiętnych gwałtów popełnionych w ostatnich latach na wybrzeżach Indii Zachodnich przez bukanierów Jamajki i

Tartugii - zarówno angielskich, jak i francuskich, gdzie są zawarte przede wszystkim niezrównane wyczyny Sir Henry’ego Morgana, angielskiego bohatera z Jamajki, który splądrował Portobelo i spalił Panamę, etc...”

Jednakże nie gwałty i rabunek jest tu najważniejszy, z relacji jednego z piratów, „świadka ich tragedii” wg angielskiej wersji tekstu z 1684 roku wydanej współcześnie. Ciekawszy jest przyczynek rynkowo-handlowy i funkcjonowanie w tak odległym czasie „rynku pirackiego”, realiami podobnego do rynku dzisiejszego, w XXI wieku.

Proponuję również cofnąć się w czasie, historycznie do lat 1493 - 1580, kiedy na Indianach z Indii Zachodnich, rdzennych mieszkańcach Ameryki Środkowej z imperiów Majów, Inków i Azteków dokonano masakry. Z wielu względów o konkwiście z odległego czasu, o tym, że żądza pieniądza przesądza, a historia jest prześmiewcza, warto nie tylko napisać, ale i przeczytać, co niniejszym polecam.

Czesław Guit, Lubuń

Sprawcą tych pięknych subtelności są czynniki klimatyczne specyficzne dla Karkonoszy. Panują tu znacznie ostrzejsze warunki pogodowe niż wynika to z wysokości gór. Mimo że Karkonosze nie należą do zbyt wysokich, to klimat tu panujący odpowiada warunkom alpejskim. Duże opady śniegu i często występujące silne wiatry, nierzadko huraganowe i pojawiające się zjawiska fenowe (odpowiednik wiatru halnego) oraz gwałtowne zmiany pogody powodują, że Karkonosze są niebezpieczne dla niedoświadczonych narciarzy i wędrowców. Pamiętamy o największej tragedii, która miała miejsce 20 marca 1968 roku w Białym Jarze. Lawina porwała całą grupę turystów z międzynarodowego obozu młodzieży. Zginęło wówczas dziewiętnaście osób. Przy Śląskiej Drodze na tę okoliczność ustawiono pomnik z głazów, ale zniosła go kolejna lawina. Pamiątkową tablicę można zobaczyć w Muzeum Karkonoskiego Parku Narodowego.

Teraz, latem na odpoczynek można udać się do schroniska Strzecha Akademicka, jednego z najstarszych i największych schronisk górskich w całych Sudetach. Można też wjechać na Śnieżkę wykorzystując wyciąg krzesełkowy na Kopę. Później pieszo trzeba pokonać Równię pod Śnieżką, aby następnie wspinaczką i przy pomocy łańcuchów zdobyć szczyt Śnieżki.

W Karpaczu w oczy rzucają się od razu pięknie odrestaurowane stare pensjonaty i hotele, chociaż w zabudowie dominują nowe obiekty turystyczne o ciekawych rozwiązaniach architektonicznych. Charakterystyczne są dwa zabytkowe kościoły i słynna świątynia Wang. Największą współczesną atrakcją Karpacza to hotel Gołębiowski. Charakteryzują go dwie cechy: wysoki standard i ogromne rozmiary. Obiekt ma ponad 116 tysięcy metrów kwadratowych powierzchni, posiada 880 pokoi, 18 apartamentów, 32 sale konferencyjne i może pomieścić od 1200 do 2000 osób. Hotelowy park wodny „Tropikana”, składa się z różnorodnych basenów, jacuzzi, saun i siłowni. Sam hotel budzi kontrowersje, ponieważ jego wielkość jest nieporównywalna z istniejącą w Karpaczu zabudową. Zajął bardzo dużą przestrzeń kosztem przyrody i dlatego wywołuje nieustanne protesty ekologów i architektów. Obecnie jest symbolem nowoczesnej turystyki i odgrywa szczególne znaczenie w tzw. turystyce biznesowej, bo odbywają się w nim spotkania o znaczeniu gospodarczym.

Warto przypomnieć, że Śnieżka od zarańca była miejscem wędrówek pielgrzymkowo-turystycznych i dla tych celów w 1681 roku zbudowano tu m.in. kaplicę św. Wawrzyńca, w której odbywały się coroczne odpusty. Przebiegająca przez wierzchołek góry granica podzieliła Śnieżkę na polską i czeską część. Na szczycie można spotkać turystów czeskich, którzy dzięki uruchomieniu w 1949 roku wyciągu krzeseł-

Karkonosze - świat jak z bajki

Karkonosze, zwłaszcza zimą wyglądają jak świat z bajki. Biała śnieżna pierzyna kładzie się wtedy głęboką warstwą na wierzchołki gór, przykrywa regłowe lasy świerkowe, a oblepione śniegiem, szronem i lodem drzewa tworzą artystyczne rzeźby

kowego mają tam łatwy dostęp. W części polskiej można zobaczyć, przy dobrej widoczności z Karpacza, budowlę w kształcie trzech nakładających się na siebie dysków tworzących najbardziej oryginalny obiekt architektoniczny w polskich górach. Wybudowany w latach 1966 - 1974 służy jako nowe obserwatorium, restauracja i szczególnie miejsce widokowe.

Jadąc do Szklarskiej Poręby można zwiedzić wodospad Szklarki i dopływ Kamiennej. Dużą atrakcją stanowi przejazd przez Jakuszyce do Harrachov i przekro-

stów przyciągają największe skocznie narciarskie o punktach konstrukcyjnych K-120 i K-90. Stąd nowoczesnymi wyciągami kanapowymi można dostać się na szczyt Certovej hory. Miasto Harrachov jest największym ośrodkiem narciarstwa w Czechach i położone jest cztery kilometry od granicy z Polską.

Szczególne dni można spędzić też na stokach Szrenicy w Szklarskiej Porębie. Kto tu był zawsze entuzjastycznie wspomina swój pobyt. Nie mniej ciekawe są też: Śnieżynka, Puchatka, Hala Szrenicka. Największą atrakcją Szklarskiej Poręby stanowi jednak najdłuższa kolej linowa w Polsce o długości 2393 metrów. W godzinę na górę wjeżdża nią prawie dwa tysiące osób.

Karkonosze - najwyższe góry w Sudetach stanowią szczególną atrakcję dla turystów. Zagospodarowane stoki o różnym stopniu trudności z pełną infrastrukturą umożliwiają wykorzystanie wolnego czasu. Cały czas przebywa się w otoczeniu niepowtarzalnej przyrody. Walory przyrodnicze Karkonoszy - budowa geologiczna i ukształtowanie obszaru z doskonale widocznymi elementami rzeźby lodowcowej, a szczególnie występująca roślinność i świat zwierzęcy stanowią przedmiot ochrony i działalności powołanego w 1959 roku Karkonoskiego Parku Narodowego. Po stronie czeskiej jest Krkonossky Narodni Park i razem oba parki zajmują najwyższe, najcenniejsze przyrodniczo tereny w Karkonoszach, w tym w całości piętro subalpejskie, strefę kosodrzewiny oraz znaczne fragmenty piętra regla górnego.

Włodzimierz Lipczyński, Słupsk



Fot. W. Lipczyński

czenie granicy polsko-czeskiej. W Jakuszycach znajdują się najdłuższe w Polsce trasy narciarstwa biegowego, na których rozgrywany jest od 1978 roku, corocznie Bieg Piastów. W Harrachov na zboczach Certovej hory utworzono duży kompleks narciarski, z którego korzystają również Polacy. Jednak uwagę prawie wszystkich tury-

Nazwy te są standardowe (m. in. geograficzne) i nietypowe: patetyczne, śmieszne, krótkie, długie, w liczbie pojedynczej i mnogiej... Odrębną kategorię nazw stanowią nazwiska osób żyjących w chwili wodowania „ich” statku bądź okrętu. Do nazw nietypowych na pewno zaliczyć należy wszelkiego rodzaju dewizy i zawołania, jak na przykład „Pourquoi Pas?”, „Viribus Unitis” czy „Westward Ho”. Tę pierwszą nosił ostatni statek Jeana Baptysty Charcota, francuskiego badacza regionów polarnych z przełomu XIX i XX stulecia, na którym zginął on w połowie lat trzydziestych XX wieku. Druga - to chyba najpiękniejsze imię, kiedykolwiek nadane wojennemu okrętowi. Po polsku znaczy ono „Wspólnymi Siłami”, a otrzymał ją w czerwcu 1911 roku potężny pancernik, flagowiec nieistniejącej już dzisiaj floty wojennej Austro-węgier. Trzecią nazwę nadano jednemu z brytyjskich niszczycieli typu V/W z czasów pierwszej wojny światowej, a było to zawołanie Wikingów: „Obierzmy kurs zachodni”. Inną kategorią nietypowych nazw były rozmaite daty, jak np. „25 de Mayo” (25. Maja). Ostatnio jest to imię wciąż służącego we flocie wojennej Argentyny lotniskowca.

Śmieszne i napaśzone wydają się nam, ludziom XXI wieku, nazwy niektórych drednotów dawnej Cesarskiej Marynarki Wojennej Niemiec, m.in. „Cesarz” (Kaiser), „Cesarzowa” (Kaiserin), „Wielki Elektor” (Grosser Kurfürst), „Król” (König), „Następca Tronu” (Kronprinz) i „Margrabia” (Markgraf). Co kraj, to obyczaj...

W historii flot odnotowano cały szereg nazw cokolwiek dziwnych, jak słynny „Fryderyk Wilhelm Na Koniu” (Friedrich Wilhelm zu Pferde) czy zupełnie nie pasująca do wielkiego dwupokładowca „Hollenderska Dziewczyna W Ogrodzie” (Holländische Maagd in den Tuyn). Do tej kategorii wypadałoby zaliczyć także takie imiona znane z kart książek, jak „Compass Rose” (Róża Kompasowa), imię fikcyjnej korwety z „Okrutnego Morza” N. Monsarrata.

Nazwy statków i okrętów bywają „mini” (jak imię „Ooi”, nadane jednemu z dwóch okrętów, najsilniej w historii uzbrojonych w wyrzutnie torpedowe, czy „Kii”,

Ludzie pływają po morzach i oceanach od kilku tysięcy lat, a co najmniej od tysiąca lat nadają swoim statkom i okrętom rozmaite nazwy

Świat nazw statków i okrętów



wybrane dla jednego z dwóch niezbudowanych już pancerników typu „Yamato”) i „maxi” (jak słynny „Fliegerkosmonaut - der -DDR - Sigmund - Jähn” na burcie frachtowca dawnego eneradowskiego armatora DSR, czy „Kaiserin und Königin Maria Theresia” na burcie austro-węgierskiego krążownika pancernego z pierwszej wojny światowej). Podczas drugiej wojny światowej nazwy bynajmniej nie krótkie miały dwa włoskie lekkie krążowniki: „Luigi di Savoia Duca degli Abruzzi” i „Emanuele Filiberto Duca d’Aosta”.

Następna grupa - to wszelkiego rodzaju patroni zbiorowi i nazwy w liczbie mnogiej. Zbiorowym patronem sławnego, siedemnastowiecznego flagowca admirała Michiela de Ruytera - „De Zeven Provinciën” (Siedem Prowincji) była jego ojczyzna,

dzisiejsza Holandia. Zbiorowego Patrona - Trójce Przenajświętszą - otrzymał największy drewniany liniowiec Europy czasów napoleońskich, czteropokładowiec „Santissima Trinidad”. Także ostatni zdobywca Błękitnej Wstęgi Atlantyku, legendarny turbinowiec z Wirginii, o którego prędkość maksymalną swego czasu zażarcie się spierało, ma zbiorowego patrona: „United States” (Stany Zjednoczone). Ta ostatnia nazwa była bardzo pechowa dla kilku okrętów wojennych USN (dwóch mających ją nosić jednostek ostatecznie w ogóle nie zbudowano, a wspaniały „atomowy” lotniskowiec zmodernizowanego typu „Nimitz” otrzymał ostatecznie - jeden Bóg wie, dlaczego! - nazwę „Harry S. Truman”).

W dziejach marynarek wojennych i flot handlowych świata zapisały się sławne

okręty i statki, nazwane imionami par (np. amerykański raketowy okręt podwodny „Lewis & Clark”, czy brytyjski jacht królewski „Victoria & Albert”). W carskiej marynarce wojennej służył okręt liniowy o nazwie „Tri Swiatitiela” (Trzej Królowie). Po tragedii amerykańskiego krążownika przeciwlotniczego „Juneau”, z którym w sierpniu 1942 roku zginęło m.in. pięciu braci Sullivanów, imieniem pechowej piątki nazwano niszczyciel „The Sullivans”. Nieszczęście to miało też swoją dobrą stronę: wkrótce po nim władze amerykańskie „poszły po rozum do głowy” i zakazały rodzeństwom służyć na jednym i tym samym okręcie. Chyba najlichnijszym po Stanach Zjednoczonych zbiorowym patronem okrętu zostali apostołowie w liczbie dwunastu, których imię - „Dwienadcat’ Apostołów” - nadano jednemu z rosyjskich drewnianych trójpokładowców z XIX wieku. Mało kto wie, że hiszpańską nazwę w liczbie mnogiej - „Texas” - nosi jedyny wciąż istniejący na świecie, oryginalny drednot, zachowany w Houston jako okręt muzeum.

Kolej na patronów okrętów i statków, żyjących w chwili wodowania „ich” jednostek. Wbrew dość powszechnemu mniemaniu, przypadków takich było całkiem sporo. Jako pierwsza przychodzi tu na myśl brytyjska „Queen Mary” - legendarny transatlantyk, któremu imię nadała sama Patronka, Victoria Mary Lady of Teck (1867 - 1953), podówczas żona brytyjskiego króla Jerzego V. Żyjących patronów miały aż trzy z czterech czterokominowców breneńskiego NDLu - „Kronprinz Wilhelm”, „Kaiser Wilhelm II” i „Kronprinzessin Cecilie”. Prezydent USA, Ronald W. Reagan, został pierwszym w historii swego kraju prezydentem, który żywy doczekał się wodowania „atomowego” lotniskowca swojego imienia.

Niektóre nazwy bywały przyczyną sporów. Spór taki rozgorzał w Wielkiej Brytanii o nazwę legendarnego „Numeru 534” od Johna Browna z Clydebank, bowiem wybrane dla niego imię „Queen Mary” nosił wcześniej brytyjski krążownik liniowy nieco zmodyfikowanego typu „Lion”, który wyleciał w powietrze podczas sławnej Bitwy Jutlandzkiej, zabierając ze sobą na dno ponad tysiąc dwieście osób. Jednak wielkiemu statkowi imię małżonki JW Jerzego V niosło tylko szczęście - dość powiedzieć, że wspaniała „Królowa” istnieje w najlepsze do dziś dnia, jako jedyny z trójki największych transatlantyków świata. Wszędobylscy malkontenci dworowali sobie z nowej „Królowej” twierdząc, że jej wielki kadłub wyposażono w tzw. „dziobówkę” jakoby tylko po to, by gdzieś umieścić dziewięcioliterową nazwę. Jakkolwiek tam było z „Królową Mary”, młodsza, większa i (wg niektórych) ładniejsza, ale niestety pechowa „Królowa Elżbieta” dziobówki już nie dostała...

Nazwy niektórych okrętów bywały tematami czasem niewybrednych dowcipów. W pierwszych latach ubiegłego wieku

do „oficjalnej” nazwy jednego z wczesnych pancerników floty wojennej carskiej Rosji - „Nie Tron’ Mienia” (Nie Ruszaj Mnie!) - ówczesni marynarze cara nieoficjalnie dodawali podobno do nazwy starego już wtedy grata drugą część - „A To Rozwalus’!” (Bo Się Rozleć!).

Bywają też nazwy naprawdę dowcipne. Taką była na pewno nazwa „Zubian” - imię angielskiego niszczyciela typu „Tribal” z pierwszej wojny światowej, powstałego przez połączenie pozostałych po ciężkich uszkodzeniach części kadłubów dwóch innych niszczycieli tego samego typu: HMS

który zginął bohatersko w pierwszej połowie trzydziestych lat ub. wieku, niosąc pomoc ludziom w potrzebie na morzu. Łódź ta istnieje w najlepsze do dziś.

Na koniec coś z rodzimego podwórka morskiego. My też mamy w naszej morskiej historii statki i okręty o nietypowych nazwach. W historii naszej floty handlowej bywają jednostki o zbiorowych patronach (jak masowiec „Brygada Makowskiego” typu B-30), statki o nazwach w liczbie mnogiej (jak masowiec „Czwartacy AL” typu B-447), statki o nazwach ekstra-długich (jak masowiec „Politechnika Szczecińska”



Fot. Archiwum Autora

„ZULU” (który utracił w akcji część rufową) i HMS „NuBIAN” (który stracił w akcji część dziobową). Powstały w ten sposób „nowy - stary” niszczyciel radził sobie nader dzielnie w dalszych miesiącach wojny - „zaliczył” nawet jednego „U-Boota”!

Wilki morskie wciąż mawiają, że duże utopionych marynarzy powracają na ten świat w ciałach albatrosów. Skoro tak, to dusze ratowników morskich, poległych w akcji, powinny powracać w ciałach delfinów - wspaniałych, niezwykle inteligentnych ssaków, obdarzonych m.in. instynktem niesienia pomocy. Wśród współczesnych ratowników spod różnych bander istnieje piękna tradycja nadawania nowym statkom ratowniczym imion ich pozostałych na zawsze w morzu kolegów. Tak u honorowano między innymi całą załogę statku ratowniczego DGzRS „Adolph Bernpohl”, która w komplecie zginęła w lutym 1967 roku po zakończeniu akcji przejmowania trzech holenderskich rybaków z ich tonącego kutra. W jednym przypadku, pod znakiem brytyjskiej RNLI, do nazwy pewnej łodzi ratowniczej - „Zawsze Gotów” - dopisano przed laty imię i nazwisko zawsze gotowego do akcji, szypra Roberta Pattona,

typu B-521) i jednostki noszące nazwy-symbole (jak masowiec „Manifest Lipcowy” typu B-521). Mamy szereg osobistości, które zostały patronami statków bądź okrętów jeszcze za swego życia (Józef Piłsudski, Józef Haller, Stanisław Sołdek, Wincenty Pstrowski). Marszałek Józef Piłsudski (1867 - 1935) został patronem zarówno okrętu, jak i statku, ale obie jednostki jednak zatoniły w toku II wojny światowej, w tym jedna w nie do końca jasnych okolicznościach. Mało tego: zginął również, i to w sposób do dziś nie wyjaśniony, dedykowany Marszałkowi okręt podwodny „Orzeł”. Dwie jednostki - masowiec typu B-30 i niewielki statek rybacki typu B-11 rodzimej budowy z lat pięćdziesiątych ub. wieku - o mały włos otrzymałyby za patronów daty (odpowiednio 1. Maja i 22 Lipca), pierwszą z nich jednak w czas sprzedano do ZSRS, drugiej zaś nadano ostatecznie nazwę ptaka (m/t „Kulik”). Na koniec wypada wspomnieć, że także nasza współczesna Marynarka Wojenna posiada dwie jednostki o nazwach „maxi”: fregatę „Generał Kazimierz Pułaski” i zaopatrzeniowiec floty „Kontradmiral Xawery Czernicki”.

Wojciech M. Wachniewski, Słupsk

OGÓLNOPOLSKI FESTIWAL PIOSENKI I TAŃCA

KWAKOWO, CZERWIEC 2013



